

# JAK TO BYŁO POD WIEDNIEM?

---

POWIEŚĆ

NA TLE DZIEJÓW NASZYCH

PRZEZ

JOZEFA GRAJNERTA.



1911

|          |
|----------|
| K 368435 |
| 722068 I |

16.07.1971



28.06

## I.

O tem, jak to Rzepka, niegdyś chłop prosty, wybrał się na wojnę turecką z żoną swoją i z panem starostą; także o tem, gdzie podział swojego synka?

Jaśniał w całej krasie wiosennej miesiąc maj 1683 roku; rozwinął modrą szatę na pogodnem niebie; ziemię usłał pysznemi ko-  
biercami zieleni i kwieciami; doliny przewinał błyszczącemi wstęgami wód rzecznych; powietrze wypełnił świeżością i wonią.

Było to na Pokuciu, w tym dalekim zakątku południowo-wschodnim dawnej Polski. Równiny bujnie się zaruniły pszenicą, kukurydzą, żytem i innemi zbożami, które z trzech stron okalały dużą wieś Zahajpole, bo z czwartej, tuż za ogrodami, za rzeczką i łąkami szumiał las bukowy, coraz wyżej pnący się w górę.

W ogródku Franczuków wesoło śpiewały lub świegotały drobne ptaszyny, przelatując

z gałęzi na gałąź i migając jak cienie wśród złotych smug słońca. Od łąk, od wierzb zielonych rozlegało się skryte nawoływanie kukulki.

Pod rozłożystą jabłonią, okrytą rzęsistem, bladoróżowem kwieciem, niby pod pięknym baldachimem, na białem prześcieradku leżał rumiany chłopczyk; wywijając tłustemi nóżkami, odwinął sobie na brzusek koszulki, śmiał się do klęczącej przy nim młodej, pięknej kobiety, która podając mu do rączek stokrotki, zrywane wśród trawy, swawoliła też z dzieciakiem, to śmiejąc się, to całując tłuste łapki, to łechcąc kwiatkami kolanka swego synka. Była ona córką Franczuków, dość zamożnych gospodarzy w Zahajpolu.

Śpiewy ptaszków, bawiących się także po swojemu, zlewały się z brzęczeniem złocistomodrych muszek, drżących skrzydełkami ponad kwiatami, i pracowitych pszczołek, zapadających w kielich żmijowca lub w główki tu i owdzie bielącej się koniczyzny i innych miododajnych kwiatów. Ponad drzewami owocowemi ogródka, słońce wiosenne stanęło w połowie swej drogi na czystem niebie, ozłacając widziane z pośród drzewin, w dali zębiące się szczyty *Czernohory*, należące do



pasma gór Karpackich. Ich stoki siniały lasami jodłowemi lub bukowemi. Słowem, w powietrzu, na polach, w ogrodach panowały spokój, cisza i śliczna pogoda.

W cieniu jabłonki przystanął właśnie młody jeszcze mężczyzna, w kapeluszu słomianym z niebieską wstążką do koła, w butach o długich cholewach z ostrogami i w kurtce wojskowej, dragońskiej. W takim ubraniu rad był chodzić jako były wojak, o czem się zaraz dowiemy. Wąs suty, jasny zwieszał mu się z pod nosa potężnego: na szyi miał bliznę jakby od strzały; zaś cała postawa wyprostowana, budowa ciała silna, twarz ogorzała z niebieskimi oczyma, szczerą i wesołą — czyniły go przyjemnym i przystojnym mężczyzną. Słowem, był to, jak mówią, chłop setny i z miny i z czupryny.

Zwał się Jakób Rzepka, a był właśnie mężem ładnej kobiety z pod jabłonki i ojcem rozkosznego chłopczyka. Ów Rzepka, jadąc z pod Żórawna z listem królewskim do starosty śniatyńskiego, poznał w drodze powrotnej dobrą i dzielną młodycę, pokochał i ożenił się tu w Zahajpolu. Tutaj też przy teściu i świekrze zamieszkał, pomagając im w gospodarstwie. Z wojska otrzymał już uwol-

nienie od samego Sobieskiego, pod którego chorągwiami najmniej w dwudziestu bitwach ocierał się z licznymi nieprzyjaciółmi. Ongi znaleziony został dzieckiem przez żołnierzy na polu w rzeple, gdzie uciekł po zamordowaniu mu rodziców i spaleniu wioski Rawałowice przez Szwedów w Krakowskiem. Nazwano go też Rzepką i oddano z litości na wychowanie do Krakowa; z czasem wyszedł na człowieka uczciwego i dzielnego wojaka.

Po stracie pierworodnego synka, Bóg dał Rzepkom drugiego, i ten właśnie, kończąc już drugi roczek, bawił się pod jabłonią na murawie ze swą mateczką.

Spoglądał Rzepka, niepostrzeżony, na tę śliczną, ukochaną parkę, złożywszy ręce na piersiach i uśmiechając się radośnie na to, jak matka chłopczyńę pod noskiem lechtała stokrotką, a on śmiał się po swojemu i starał się wyrwać biały kwiatek z rąk matki. Kiedy chłopczykowi udało się zamiast kwiatka pochwycić za kosę ciemnych włosów pochylonej nad nim matki, uradował się wielce i nie chciał już wypuścić swej zdobyczy z rączki, pomimo, że matka udając płacz na pół ze śmiechem, odciągała mu paluszki od swoich pięknych, bujnych włosów.

— A puść isz ty matkę Stasiek! — zawołał ojciec — chcesz jej wyrwać wszystkie włosy, mały urwisie.

— Tata! tata! — zawołało dziecko, i puściwszy matkę, wyciągnęło tłuste rączki z dołkami na łokciach, ku ojcu. Ten pochwycił chłopczyka w szerokie dłonie, uniosł jak piórko w górę i ucałował jego rumianą buzię.

— No, Małanko — rzekł, przyszedłem po was na obiad, matka już stół zastawiła barszczem ze śmietaną i z mięsem, a kulesza z makowem mlekiem już gotowe, i świeży małaj\*) w dodatku — chodźmy, bo wszystko wystygnie.

— Ta i pijdemo, koły czas a obid hotowyj — odpowiedziała z rusińska, jak tam lud mówi, i podniósłszy się z murawy, szła za mężem. Poprawiwszy sobie roztargane przez chłopczyka włosy, — zanuciła półgłosem wesołą kołomyjkę, i figlowała z chłopcem po za plecami męża, zmierzającego przez ogródek ku chacie. Była to szykowna, smukła kobieta, jaśniejąca urodą jak wiśnia dojrzała. Na szyi błyszczały jej korale duże ze złotym krzyżykiem; szła bosą, odziana w spódni-

---

\*) Kulesza — potrawa z maki kukurydzanej zaparzonej gorącą wodą; małaj — chleb z kukurydzanej maki.



czkę krótką czerwoną, w czarne pasy, a białki gors od koszuli zdobiły na przodzie różnobarwnie wyszywane wzory.

Wtem dał się słyszeć tętent w miejscu osadzonego konia ode drogi, z tamtej strony chaty, i jednocześnie rozległo się szczekanie czujnego Zahraja. Ciekaw, ktoby przyjechał, Jakób z chłopczykiem na ręku zwrócił się na prawo ogrodem, po ścieżce wiodącej do drzwiczek w parkanie i wyszedł na ulicę. Z konia zsiadł jakiś mężczyzna, w hajduckim ubiorze, z ładownicą u boku, muszkietem przewieszonym przez ramię i szablą u pasa. Ujrzawszy Jakóba ubranego w dragońską kurtkę z naszywką, rzekł na przywitanie: "czołem!" i dowiedział się, że dobrze trafił i wręczył Jakóbowi pismo od pana starosty halickiego zaadresowane do Rzepki. Wiedział bowiem starosta z listów, które niekiedy na żądanie swoje odbierał od Rzepki, w której stronie i wsi przebywa. Teraz mu donosił, że podstarości jego zakończył życie, więc przedłożył mu życzliwie, aby zechciał przyjąć opróżnione miejsce i przybył na zamek wraz z żoną i synkiem. Ufał Rzepce jako człowiekowi, którego tak dobrze już poznał z uczciwości, rozgarnienia



i sprężystej służby, gdy był jeszcze wachmistrem dragonów na zamku halickim.

Weszli razem Jakób i hajduk do izby z tą wiadomością. Teść, stary Franczuk, widząc, że zięć jego zostanie już teraz w całym znaczeniu "atamanem," czego sobie zawsze dla męża swej córki życzył, tak przemówił:

— Wprawdzie i u nas dobry kęs chleba bożego moglibyście mieć do samej śmierci, a i pieniędzy też się nieco uskładało, ale przecież Bóg dać wam może więcej dzieci, to i godno pomyśleć o ich przyszłej doli, aby rosły Bohowy na chwałę, a ludziom na sławę. U klamki wielkiego pana zawdy i do mienia i do znaczenia dojść można, jak sobie kto roztropnie postępuje. Zresztą na nasze gospodarstwo patrzą i sieroty po moim nieboszczyku bracie, co okrom matki schorzałej i troski jej o jutro dla swych dzieci, nic po sobie, biedak, nie zostawił w spuściźnie.

Franczukowa, nieboga, ocierała tylko zapaską w milczeniu łzy jak groch kapiące, słysząc, co się święci i na myśl o rozstaniu ze swoją córką jedynaczką. Ta zaś patrzała jak w tęczę w swojego Kubę, oczekując, co on powie i postanowi. Kuba po krótkim namyśle, zgodnie z poradą teścia, postanowił przy-

jać miejsce to okazał się u starosty, którego przychylność dla siebie miał nieraz sposobność poznać, już to na wojnie już też za poprzedniej służby zamkowej. Był ten starosta i dumny i lubiący wybryki, jednakże nie pomiatał uboższymi, lubił sprawiedliwość i nagradzał wierne dla siebie służby.

Odpisał przeto Jakób staroście, iż z chęcią przyjmuje służbę podstarościego, a pisać umiał Rzepka, boć wychowując się ongi w zakładzie miłosierdzia Księdza Piotra Skargi w Krakowie, wcale nieźle był przygotowany w naukach.

Hajduk, przenocowawszy w chacie Franczków, o świcie kopnął się w drogę powrotną z odpisem Rzepkowym do Halicza.

Gdy wieść o rychłych przesiedlinach Rzepków na zamek halicki rozniosła się po Zahajpolu, zeszli się sąsiedzi i sąsiadki, gospodarze, by się po raz ostatni do woli nagadać, i szczerze pożegnać tego "mazura" wojaka Rzepkę, co to snopkami pszenicy śmigał na sąsieka jak patyczkami, i jego serdeczną Małankę i miluchnego sokolika "Stasiuka," jak nazywali chłopysia.

Franczuk kazał parobkowi zaprządz do woza swoje konie, a "Karasia," ulubionego konia Kubowego, co to już z panem swoim

uwijał się tyle razy szczęśliwie w bitwach, przytroczono tylko do lejcowego, żeby sobie szedł swobodnie i nie obtarł boków od szlei, coby nie przystało "atamanowi," aby miał wierzchowca z odbitemi bokami. Na trzeci dzień Rzepka przypasał szablę do boku i gotów był do drogi. Wybrali się szybko wedle przysłowia: "Wstau, pidperezausia i zowsim, zabrausia." Długo, długo stali Franczukowie po za ogrodem, spoglądając w dal za odjeżdżającymi; dawali im znaki pożegnania, a ci znowu machali ku nim ze wzgórzy rękami, Jakób wreszcie czapkę dragońską, co ją starannie przechowywał dotąd w skrzynce, a Małanka chustką, dopóki nie zniknęli hen! daleko na zakręcie, w gęstym, bukowym lesie.

Przyrzekli wprowadzić młodzi z synkiem odwiedzać rodziców w Zahajpolu po kilka razy do roku, na święta ważniejsze, — ale Bóg tam wie, co jest za górami? czy się jeszcze zobaczą przy zdrowiu lub życiu? Póki jedynaczka była przy boku na oczach starym, patrzyło się na nią jużci przyjemnie, ale zawsze jako na rzecz powszednią, — a teraz, gdy jej tej ślicznoty, tej ukochanej doni nie stało, wydała się im droższą, cenniejszą ponad



wszystkie w świecie klejnoty, ponad brylanty.

Westchnęła sobie żałośnie i ciężko stara Franczukowa: łyzy rzewne otarła; Franczuk zadumaną głowę opuścił ku ziemi i tak oboje powoli pociągnęli do opuszczonej teraz strasznie chaty. Franczukowej o mało serce nie pękło od wielkiej żałości, gdy spojrzała na puste teraz, ciche kąty, bez Małanki i szczebiotliwego wnuczka. Komuż teraz nad kolebką wyśpiewywać będzie do snu rzewne kołomyjki lub wesołe krakowiaczki, których Kuba wszystkich pouczył w chacie? Szczozja budu bidna robyty, bez mojej doczki, kałynoczki?" biadała. Toż poszła zaraz do swej krewniaczki i wzięła do siebie ich dziewczynkę i chłopczyka, by dać im przytułek, a sobie i swemu staremu ulgi i rozrywki niejako, w te ciężkie teraz chwile dostarczyć.

Nie ma bowiem większej pustyni w świecie nad tę, którą się widzi i czuje w domu, gdy w nim zbraknie drogiej, ukochanej, zżytej od lat wielu osoby, — gdy po całych dzionkach i wieczornicach jej głos nagle umilknie; jej oczy, jej cała postać majaczą ustawicznie nam wtedy wspomnieniem i westchnieniem tęskne wyrrywają się z piersi. A cóż dopiero mówić, gdy tą ubylą osobą jest córka jedy-

naczka, którą matka i ojciec jak żrenicę w oku chronili, a kochali jak własną swą duszę i serce! Ale na mus niema lekarstwa. Ze wszystkim co jest nieuniknione, oswoić się potrzeba.

Małanka pierwszy raz w życiu jadąca w tak dalekie strony, trzymając Staśka na kolanach, ciekawie spoglądała na górzystą okolicę, a wreszcie i na wysokie baszty i wieże miasta Halicza i jego zamku, które z daleka ujrzeli, zwłaszcza że zamek stał na wyniosłym wzgórzu.

Zaledwie jednak rozgospodarowali się na dobre w nowem mieszkaniu, które im przeznaczył starosta w zamku, gdy nagle na pogodnem chwilowo niebie ponad Rzeczpospolitą Polską zagrzemiały czarne, nawałnicze chmury. A w chmurach tych zahuczały odgłosy: wojna! wojna "Stara bida umerła, a młoda narodyłaś," jak mówi piosenka rusińska, bo oto co się stało.

W końcu czerwca tegoż 1683 roku, wyszedł rozkaz od króla Sobka (Sobieskiego) na wszystkie ziemie Korony i Litwy, na Mało i Wielkopolskę, na Prusy i Województwa Ruskie, aby się pułki zbierały na nową, gwałtowną potrzebę wojenną.

Potęga turecka, co się wtedy jeszcze srożyła w całym znaczeniu, zagroziła zagładą całemu chrześcijaństwu i wolności narodów w Europie. Sułtan turecki ujarzmił już wiele krain Azji, Afryki i Europy. Teraz, w porozumieniu z wojewodą węgierskim, hrabią Tekelim i księciem siedmiogrodzkim Apaffim wydał Austrii wojnę i wysłał pod jej stolicę Wiedeń zbrojne hufce janczarów, spahów i hordy Tatarów — razem wojsko ogromne na owe czasy, bo liczące przeszło 300,000 żołnierza, oprócz Tatarów. Drugie tyle wraz z pomagającymi Turkom Węgrami było w obwodzie po miastach i twierdzach węgierskich, serbskich, bośniackich, albańskich, greckich, bułgarskich i mołdawskich. Sam sułtan stał z drugą armią w mieście serbskiem Belgradzie. Z wojskiem przybyły pod Wiedeń tabory, dziesiątki tysięcy Murzynów, służby pociągowej i obozowej. Tysiące wielbłądów, koni, bawołów i mułów przywiozło lub przyniosło armaty, amunicję, to jest proch i kule, bagaże, zapasowy oręż i przeszło sto tysięcy namiotów.

Sam wielki wezyr, czyli wódz naczelny tej armii, Kara (to jest "czarny") Mustafa, namiotami swojemi zajął taką przestrzeń, jak



ówczesna opasana murem Warszawa lub Kraków; kazał sobie tam pobudować ła-  
zienki, stajnie, ogrody z osobliwemi zwierzę-  
tami i z wodotryskami.

Sułtan, to jest cesarz turecki, oprócz  
państw w Azji i Afryce, zajął już wiele krajów  
w Europie pod swe panowanie, był panem  
zwierzchnim Węgier i miał w ręku ich sto-  
licę obronną Budę. Zalał już swymi ho-  
dami i część Austryi, a teraz szło mu bardzo o  
tłusty kasek, o stolicę tej Austryi, Wiedeń.  
Gdy ją zdobędzie, gdy strąci z kościołów krzy-  
że chrześcijańskie i zamieni te świątynie Pań-  
skie na swoje mahometańskie bożnice, meczety  
i dżamije, wtedy postara się sturczyć, zbi-  
surmanić całą Austryę, potem Polskę, potem  
całe Niemcy, Francję i tak dalej. Przytem  
będzie dowolnie darł pasy z giaurów ("psów  
niewiernych") chrześcijan, wbijał na pal i t. p.  
Tak sobie wtenczas roził ówczesny sułtan;  
już miał w swej mocy morze Czarne, a chciał  
jeszcze przez Polskę i Niemcy pływać sobie  
i po morzu Bałtyckiem. Dotąd Polska opie-  
rała się potężne Turka i trupami swemi za-  
gradzała mu drogę do Niemiec, ale czy i teraz  
Polska nie dopuści do nich strasznych hord  
tureckich i tatarskich? ha! Bóg wie jedyny.

Strach padł teraz na Niemcy. Wszakżeż już wielki wezyr wali raz wraz z armat do broniących mu się murów wiedeńskich, a Wiedeń był wtedy stolicą całych Niemiec, — jak weźmie stolicę, to i całe Niemcy będą musiały stawiać tureckie meczety z półksiężycami w miejsce krzyżów. A tu na dobitkę, Leopold I., cesarz austriacki, zemknął przed Turkami ze swej wiedeńskiej stolicy i aż o miasto Linc (w wyższej Austrii nad Dunajem,) o dwadzieścia kilka mil odległe od Wiednia, się oparł, uszedłszy zaledwie z duszą przed ścigającymi go Tatarami, siedzącymi na rącznych konikach.

Co tu robić w tem położeniu nie do zazdrości? Wielki wezyr już od 14 lipca bije z armat do Wiednia i wielkie dziury czyni w murach, twierdzach i basztach. Szczęściem, wcześniej jeszcze przed owym dniem przypomniano sobie o Janie Sobieskim, niezwalczo-nym dotąd królu polskim. A stało się to tak:

Ojciec święty, siedzący na stolicy Piotrowej w Rzymie, przejęty smutkiem z tego postępu oręża pogańskiego, co zagroził niedolą wszystkim chrześcijańskim ludom, i on cesarz austriacko-niemiecki, nie mając siły oprzeć się najazdowi Turków, wysłali posłów do

króla Jana III. Sobieskiego z prośbą o przymierze i spieszny ratunek, bo już nóż na gardle. Gdy król przechodził krytym ganikiem z zamku do kościoła katedralnego św. Jana w Warszawie na nabożeństwo, poseł austriacki, hrabia Wilczek, padł przed nim na kolana, wołając: "ratuj królu Wiedeń!" a nuncyusz papieski, Pallavicini dodał: "I chrześcijaństwo!" Za pomoc i przymierze cesarz zrzekł się wszelkich pretensyj, jakie sobie rościł do żup solnych w Bochni (w dzisiejszej Galicyi) i urojonych roszczeń do korony polskiej. Pobożny król mając na uwadze dobro wiary św. i ratunek zagrożonego chrześcijaństwa przez Turka, a także bezpieczeństwo własnego kraju, przyrzekł we 40,000 żołnierza osobiście pospieszyć na odsiecz Wiedniowi. Miał złączyć pod tem miastem chorągwie swoje z niemieckimi, co zostawały pod księciem Lotaryńskim i zaledwie 24,000 głów liczyły, i nad połączonemi wojskami miał przyjąć dowództwo naczelne. Tem więcej skłaniała króla do tego pochodu obawa, że jeśli nie odpędzi Turków z pod Wiednia, to później będzie ich miał u siebie na Rusi, Ukrainie, a dalej: pod Krakowem, a czasem i pod Warszawą, wreszcie pod Gdańskiem, co leży nad Bałtyckiem morzem.



W tem położeniu rzeczy pośpiech był konieczny. Król przeto, nie czekając, aż się zbiorą kozackie watahy lub niechętni mu ciągle hetmani litewscy ze swemi pułkami, kazał wyruszyć w pole najbliższym brygadam piechoty i chorągwiom konnym; sam zaś z częścią już gotowego wojska wyciągnął z Warszawy pospiesznym pochodem ku Szląskowi, gdzie przykazał połączyć się z nim, z dalszych stron ochoczo ciągnącym na bisurmana, zbrojnym oddziałom.

Rzecz oczywista, iż między pierwszymi musieli się stawić na punkcie zbornym najbliżsi Szląska wojewodowie i starostowie, a więc i ci, co na Rusi w zamkach siedzieli. Starostowie zależeli wprost od łaski króla; on im przeznaczał dobra z zamkami, a z dochodu czwartą część, czyli z łacińska: kwartę płacić musieli na wojsko królewskie zwane stąd "kwarcianem." Sami zaś starostowie ze swymi hajdukami orężnymi i w potrzeby wojenne zaopatrzonymi, a także z zaciężnymi oddziałami wyciągać musieli w pole w razie potrzeby.

W skutek tego i starosta halicki, Stanisław Potocki, musiał się stawić na Szląsk między najpierwszymi. Oprócz hajduków, kazał wy-

stąpić w pochód i szwadronom dragonów swoich.

‖ Licząc wiele na doświadczone już za poprzednich wojen męstwo, uzdolnienie żołnierskie i roztropność Jakóba Rzepki, podstarościego, przyzywał go do swej komnaty i przedłożył mu wyciągnięcie razem na Turka, jako rotmistrzowi dragonów i hajduków. Nie trzeba było dwa razy o tem mówić Rzepce; więc się odezwał:

‖ — Miłościwy panie starosto! jestem synem tej ziemi, której wróg nieubłagany zagraża, a też jestem i dobrym katolikiem, więc i o dobro naszej świętej wiary bardzo mi idzie. Dzięki Bogu, mam jeszcze dosyć zdrowia i pięść mię swędzi, bym jej nie miał spróbować na bisurmańskich karkach. Gardło i krew moja do miłej ojczyzny należą.

‖ — Zatem w miejsce twoje tu kogo innego na zastępstwo wyznaczę. Ale jakoż uczynisz z żoną i chłopcem, mój Jakóbie — zapytał pan starosta — wszak ich brać na wojnę nie możesz? Tu ich zostawić nie podobno.

— Moja Małanka, Miłościwy Panie, wszędy pójdzie, gdzie ja się obrócę. Już o tem i teraz mówiliśmy z sobą.

‖ — Więc ma odwagę na tyle obozowych

przykrości i niebezpieczeństw się narażać — zauważył starosta.

— To zuch kobieta, proszę Miłościwego Pana; jakim się do niej zbyt nadto zalecał tam na Pokuciu w drodze, kiedy jeszcze panną była, to mi, Panie Miłościwy, dzbanek swój o czerepetę na drzazgi rozbiła, nie zważając wcale na to, że miałem ostrą szablę przy boku.

— I to cię pewnie do niej tem więcej przywiązało, nie prawda? — rzekł z uśmiechem starosta.

— A jeno, proszę pana Starosty; żołnierz lubi, kiedy go kto dobrze po skórze podrapie; ślamazarna kobieta nie spodobałaby mi się wcale.

— Zatem, co do twej żony załatwione, ale z synkiem co zrobisz?

— Synka wyślę do jej rodziców na Pokucie; kochają dobrzy starzy swojego wnuczka więcej niż siebie samych, to mu się tam nic złego nie przytrafi.

— Dobrze więc — mówił starosta — niechże nasza klucznica zamkowa sama go do Zahajpoła odwiezie, a dla bezpieczeństwa wszelkiego w drodze, dodam jej za towarzyszy dwóch hajduków konnych. A oto i kieska z



trochę grosza dla starych — dodał starosta, wyjmując z kantorka woreczek, napęczniony dukatami. Niechże im się opłaci żywienie i przyodziewek malca. Da Bóg najwyższy zdrowia i życia, to za jaki miesiąc, sądzę, ściągniemy chłopca znowu na zamek za powrotem naszym z tej wiedeńskiej potrzeby, boć przecie Jego Mość Król nasz, jeśli pogromi i odpędzi Turków od Wiednia, nie będzie się za nimi uganiał aż do Stambułu, ich stolicy.

Tak się stało, jak starosta z Rzepką ułożyli. Wachmistrz hajduków zastąpił Jakóba na zamku, a poczciwa Małanka, uczepiwszy się swego Jakóba jak kleszcz niby, postanowiła z nim dzielić wszelkie złe i dobre w życiu. Ucałowała, upieściła swego sokolika Staśka i popłakała się serdecznie oddając go w ręce klucznicy. I ojcu łzy rzewne błysnęły w oczach; ucałował też dziecię, pożegnał i westchnąwszy, wyprawił w drogę.

## II.

**Jakób Rzepka na Łysej górze  
pod Wiedniem. Przebiera się  
po turecku i w pole wywodzi  
Turków. Co się z Małanką  
stało? Świetny atak husarzy  
do namiotu wezyra. Bitwa i  
zwycięstwo wielkie.**

Król wyruszywszy z Warszawy 14 lipca, to jest tego samego dnia, w którym wielki wezyr rozbił swoje stotysięczne namioty pod Wiedniem, w niespełna miesiąc, bo 15 sierpnia był już z pierwszemi, dzielnymi hufcami w miasteczku Gliwicach na Górnym Szląsku, gdzie wraz z synem swoim, Jakóbem, ubranym jako i król pod rycersku, stanął kwaterą na zamku, co jeszcze dawnych książąt z rodu polskiego Piasta pamiętał. Poczciwy lud szląski jak mógł przyjął króla z wojskiem gościnnie i bardzo chętnie. Burmistrz wręczając królowi klucze miasta, przemówił po szlązacku.

— Przecie — rozki doczekalima się Miłościwego polskiego Króla! Niech te stare, wyszczerbione baszty zamkowe, co se pamiętają jeszcze książąt lignickich, terozki odżyją przy Królu Sobieskim. Jo banan się modlił do Pana Jezusa i orędownał u naszej patronki szląskiej, świętej Jadwigi, żebych doczekoł, jak jeszcze latoś Najmiłościwszy Królu tureckie pogaństwo pobiją i przez to miasteczko nasze ze swoim synem (Księciem Jakóbem) będą znowuk wracali i nos tu swojem pobyciem uszczęśliwili. Vivat Król Jan Sobieski!

— Vivat! powtórzyli radni miasta. Vivat! zawołali mieszkańcy Lignicy, i mężczyźni czapki w górę rzucali.

Król podziękował szczerze za te objawy przychylności i złożył ofiary pieniężne na biednych i na kościoły w Lignicy.

Czyniąc na rynku przegląd nadciągających hufców, poznał król od razu naszego Rzepkę, który ubrany i uzbrojony po dragońsku, jako starszy wachmistrz przodował na swoim gniadym "Karasiu" dragonii halickiego starosty. Przypomniął sobie król jego śmiałe znalezienie się w czasie wymożenia pomyslnego pokoju na Turkach, kiedy już był wielki



skweres z bardzo szczupłym, okopanem wojskiem polskim pod Żórawnem, a Rzepka dając się wziąć do niewoli, wywiódł w pole Turków, prawiąc im niestworzone rzeczy o posiłkach w ludziach i armatach w nocy królowi przybyłych, ku czemu znalezienie przez generała Kątskiego starej wielkiej armaty w ruinach zamkowych i strzelanie z niej po nocy do Turków wiele dopomogło. Przemówił tedy Sobieski do Rzepki uprzejmie i łaskawie i rozkazał mu z dragonami bliżej być swojej osoby.

Zapomnieliśmy nadmienić, że małżonka Rzepki, Małanka, zajmowała się w czasie tego pochodu spiżarnią i kuchnią w poczcie starosty halickiego, rozdawała żywność i nalewała w manierki blaszane wódkę dragonom i hajdukom w czasie postoju.

Król nie bawiąc, kazał trębaczom zatrąbić a dobošom uderzyć w bębny i przy odgłosie muzyki wojennej wyruszył dalej z Lignicy. Szło z nim oprócz konnicy, złożonej z husarzów, pancernych, dragonów, i na prędcie zwerbowanych jako tako kozaków, bo regularne ich watahy połączyły się z królem później w drodze, — szło jeszcze ośm brygad piechoty i artylerji, złożonych z dwudziestu

pułków, a pułk wtedy zapewne więcej nad tysiąc ludzi nie wynosił. Dowodzili brygadami kasztelanowie, chorążowie, starostowie będący zarazem pułkownikami; artylerją kierował generał Marcin Kątski, dowódzca znakomity, wyżej już wspomniany, będący zarazem kasztelanem lwowskim. Między pułkami znajdował się jeden też Potockiego kasztelana krakowskiego, ojca Stanisława starosty halickiego. Do pomocy królowi w ogólnem dowództwie służyli hetmani wielcy i polowi. Tylko hetmani litewscy bardzo się opóźnili i połączyli się z królem dopiero, kiedy ten już o bitwie pod Wiedniem dawno zapomniał.

Przebywszy Szląsk, Morawię, po górach i dolinach, borami i rzekami, wkroczył król z wojskiem do Austryi, i było to pod wieczór, kiedy po uciążliwej przeprawie przez szeroką rzekę Dunaj stanął pod Wiedniem dnia 11 września, to jest we dwadzieścia parę dni po wyruszeniu z Gliwic. Z trudem i niesłychanemi przykrościami, cichaczem wdrapali się nasi wojacy na górę dość stromą, zarosłą wielkim i gęstym lasem, słowem, "niecnoliwą," jak ją król w listach do swojej żony "najśliczniejszej" Marysieńki nazywał. Miał

ta góra nazwę "Kahlenberg," co znaczy "Łysa góra" po naszymu, skąd i cały Wiedeń ze swemi obrońcami murami i ogromny obóz turecki pokazał się królowi jak na dłoni. Wojsko i konie bardzo były znużone; żywności dla tych bydlatek poczęło brakować, bo nigdzie po drodze, pomimo przyrzeczeń i zobowiązań władz austriackich, król nie znalazł ani dla żołnierza ani dla koni przygotowanej żywności, tak że biedne zwierzęta zgłodzone zamiast owsa i siana obgryzać musiały liście z drzew bukowych i chciwie skubały trawę stratowaną po lesie. Rzadko który pułk miał jeszcze w zapasie trochę siana lub obroku.

Zaraz król obstawił górę dookoła strażami; wysunięte naprzód placówki, osłonięte zarosłami, gdy słońce już się kryło za wysokimi górami na zachodzie, wyraźnie z wiatrem słyszały nawoływania tureckich muezzinów do namazu czyli modlitwy wieczornej. Z wysokich drewnianych minaretów, właściwie z wieżyczek, wystawionych w obozie tureckim, półksiężycu, na których szczycie błyszczały ci muezzinowie głośno i doniośle wzywali swych współwierznych do modłów słowami: "La illach il Ałlach en Mohamed ressul



ułach!" co znaczy: "Nie ma Boga nad Boga, a Mahomet jest prorokiem jego." Wtedy Turcy składali ręce ku wschodowi słońca, w strony, gdzie to w mieście Mekce jest grób Mahometa.

Taki wicher na tej niecnoliwej górze prosto w oczy bił naszym, że zaledwie na koniach usiedzieć mogli. Król zabronił palić ogni pod kotłami, aby się przed Turkami po nocy nie zdradzić; posilił się żołnierz tylko na zimno to piwem, to miodem, zakropił gorzałką, jak czego stało, i przegryzł sucharami, a mało który słonią z chlebem.

Tymczasem część Turków zaciekle szturmowała do murów wiedeńskich, bijąc raz wraz z armat. Król zaraz przy ostatnich odbłyaskach zachodzącego dnia, wziął perspektywę w rękę, rozpatrzył z góry położenie miejsca i rozstawienie sił tureckich, a jako biegły wódz postanowił właśnie z tego miejsca uderzyć na rozległy obóz nieprzyjaciela. Przez dziwną nieprzezorność i pogardę sił chrześcijańskich Turek nawet nie okopał tego obozu. Dostrzegło to zaraz baczne oko Sobieskiego, który postanowił z tej niezaradnej pychy tureckiej skorzystać. Żeby zaś dać znać komendantowi Wiednia Stahrenbergo-



wi o swoim przyjściu, i aby trzymał się tam do ostatka wytrwale w murach, wysłał zaraz nocą do Wiednia znanego w dziejach odważnego Kulczyckiego, co doskonale umiał po turecku. W razie gdyby go Turek przypadkiem pochwycił, wysłał drugą stronę, czy też zgadnienie kogo? oto naszego Kubę; przekonał się bowiem król jeszcze pod Żórawnem, jak jest roztropnym, śmiałym i że też nieźle po turecku się nauczył, wojując lat kilka z Turkami i Tatarami. Tymczasowe dowództwo nad dragonami halickimi oddał król młodszemu wachmistrzowi, także już zasłużonemu w bojach.

Rzepka przypiął sobie dużą brodę, przebrał się w długi chałat i wysoką czapkę niby to mułła (duchowny), niby "hekim baszi," to jest doktor turecki. W rękę lewą wziął jakąś księgę turecką, czego wszystkiego nie zbywało w obozie naszych, bo nieraz trzeba było wysyłać szpiegów po turecku przebranych; w prawej ręce trzymał długą laskę z trupią głową na wierzchu; czapkę i szyję ustroił sobie gałązkami i jesiennymi kwiatkami, i tak udając obłąkanego (po turecku — deli), a wiedział, że muzułmanie szanują takich ludzi, przeżegnał się i w imię Boże wyruszył nocą z obozu ku Wiedniowi.

Zaraz pierwszą placówkę turecką, którą napotkał, przywitał słowami salam alalkum, co znaczy: witam was! Żołnierze odpowiedzieli nawzajem: alelkum salam, effendim deli! (witamy cię, panie obłąkany), i przepuścili go wolno. Przy drugim łańcuchu obozowej straży, Kuba wznosząc do góry kosztur i księgę, zawołał: La illach il Ałłach! Straż spojrzawszy zbliska na dziwaczne jego przybory, odpowiedziała: Ewet, deli hekim baszi, la illach il Ałłach! (Tak, obłąkany doktorze, niema Boga nad Boga), — i swobodnie przepuściła go w głąb obozu. Tutaj przy płonących ogniskach wszyscy spali, oprócz zmieniających się i patrolujących straży. Udając ciągle obłąkanego, Rzepka wymawiał do spotykanych żołnierzy bez ładu i składu tureckie słowa, jakie mógł zapamiętać; więc wołał: Kauga! (wojna!) aps (więzienie), giaur, domus (psy niewierne, świnie), raki, raki! (gorzałka, gorzałka), Ewet Effendim Ałłach! (Tak, Panie Boże). Aman! Aman! (Biada, biada!) i tym podobne plótl bzdurstwa.

Nikt go nie zaczepiał, wszyscy mu się zdala rozstępowali, boć to w obłąkanym dusza z tamtego świata przemawia, jak zabobonni



Turcy sądzili. Nareszcie uszedł w przykopy, i chyłkiem po nocy ciemnej dotarł do jednej z bram wiedeńskich. Wygramoliwszy się na wierzch, kiedy strażnicy wiedeńscy, ujrzawszy przy blasku księżyca skradającą się postać ludzką, już wymierzili ku niemu muszkiety, Rzepka począł wołać paroma słowami niemieckimi, których się gdzieś w drodze przez Austryę nauczył: Gut Freund, gut Freund! co znaczy: swój! przyjaciel! i dodał: Sobieski! Sobieski! Otworzono drzwiczki w bramie i pod strażą wprowadzono go do kordegardy, a stamtąd na żądanie Kuby, do komendanta. Po chwili zjawił się tam i Kulczycki, któremu się też udało szczęśliwie przedrzeć do Wiednia. Komendant, który już rozpaczał, gdyż miasto, zamek i mury obronne z basztami mocno ucierpiały od kul tureckich, przytem z braku żywności dłużej nad pięć dni trzymać się nie mogli, ucieszył się teraz niezmiernie. Gdy się dowiedział o posiłkach króla polskiego, zaraz dał znać wypuszczeniem kilku rac w powietrze, iż się dowiedział od posłów o przybyłej odsieczy, bo taką mu król kazał dać wskazówkę.

Zanim nasz Rzepka powróci cało i szczęśliwie do swoich, lub też może zginie w tym

zameście wojennym, opowiemy pokrótce, jak to sobie dzielny Jan III. z tą odsieczą wiedeńską poczynił.

Najprzód, gdy wszyscy książęta austriaccy i niemieccy zobowiązali się pójść pod naczelne dowództwo Sobieskiego, tenże zaraz w piątek w nocy miał z nimi i swoimi hetmanami radę wojenną w swym namiocie, i oświadczył im, że pojutrze uderzy własnymi polskimi wojskami w sam środek obozu nieprzyjacielskiego; do bitwy ogólnej kazał sobie przydać na prawe skrzydło 4 pułki piechoty niemieckiej, zaś na lewe skrzydło niemieckie posłał kilka chorągwi polskich husarzy i pancernych. Kozacy mieli być użyci do zaczepki, niepokojenia i pościgu nieprzyjaciela, ale cóż, kiedy pułkownicy Wrona i Apostoł prostych chłopów rusińskich przebrali po kozacku, a ci niewyćwiczeni w rzemiośle wojennem psu na budę się nie zdali, i dopiero później, już po bitwie, kilka watah prawdziwych Kozaków nadciągnęło.

Wojska polskie, zdrożone przez całą noc i dzień następny i jeszcze jedną noc z soboty na niedzielę, wypoczywało po tylu trudach szybkiego i uciążliwego pochodu; koniom jednak wciąż brakowało paszy, bo komisarze

austriacy wcale się nie kwapili z dostarczaniem przyrzeczonego obroku. Ludzie wszakże króla bardzo byli ochotni do boju z niewiernymi.

W sobotę do godziny pierwszej w nocy król wydawał hasła, to jest sekretne słowa wojenne, rozkazy, gdzie które pułki stać mają i uderzać w czasie rozpocząć się mającego boju. Następnie zmówiwszy nabożnie pacierz pod namiotem wciąż na owej "niecnotliwej" górze, kazał pokojowcowi swojemu nastawić zegar z budzicielem na godzinę trzecią z rana, o której też zaraz się obudził. Zmówiwszy znowu pacierz poranny, a też i modlitwy błagalne do Stwórcy o łaskę i pomoc w tej krwawej potrzebie, ubrał się w żupan biały jedwabny, i w kontusz sukienny niebieski na wierzch. Posilił się potem, przypasał do boku szablę i dosiadł dzielnego rumaka cisawej, czyli płowej maści. U kołpaka z obłożeniem sobolowem błyszczała mu z przodu brylantowa zapinka, pod kitką z piór drogich.

Wśród ciszy, przed świtem, kapelanowie polscy, księża: Aviano, Włoch świątobliwy, a też Kamieniecki, Hacki, Skopowski i Szumlański odprawili msze św. wobec modlącego



się wojska, to przy ołtarzach obozowych ze skrzydłami składanemi, tak zwanych tryptkach, to wreszcie przy ołtarzach po wojskowemu z bębnów ułożonych. Konnica, piechota, artylerzyści zaśpiewali pieśni nabożne, jak to zwykle bywało u nas przed bitwą, tę starożytną: "Boga rodzico, Dziewico, Bogiem sławiona Maryo!" a indziej: "Gwiazdo morza, któraś Pana mlekiem swoim karmiła," lub: "O Gospodzie uwielbiona," lub "Kto się w opiekę poda Panu swemu." Śpiewali półgłosem, aby Turkom nie dać znać o sobie, gdyby głośniejszemu śpiewowi uderzyli.

Potem ci i owi łyknęli nieco z manierek, zakąsili chlebem, sucharem, słoniną lub wędzonką, i byli już gotowi do bitwy.

Zatopieni w rozkoszach i oślepieni siłą swoją Turcy nie wiedzieli nawet o przybyciu Sobieskiego z posiłkami.

\*

\*

\*

Nad ranem 12 września, więc przed 210 laty, w ową niedzielę rzezańcy tureccy przyprowadzili do namiotu wezyra wielce urodziwą Laszkę, brankę polską. Była to niestety! nasza Małanka Rzepkowa. Pochwyłili ją Tatarzy słaniający się po okolicy.

Niespokojna o dolę męża, którego już od piątku nie widziała, wyszła za namioty starosty halickiego, zbyt daleko na drogę za wzgórze, wyglądając, czy czasem Kuby wracającego nie ujrzy? — Wezyr zajęty oblężeniem miasta i wydawaniem rozkazów, siedząc z podwiniętymi nogami na bogatym dywanie w swoim namiocie, i paląc tytoń z długiego cybucha, do którego szedł dym przepuszczany przez wodę różaną, spojrzał na brankę uważnie i w milczeniu potem coś mruknął pod nosem i skinieniem ręki kazał ją zaprowadzić do bocznego namiotu, w miejscu, gdzie były jego żony, tak zwany harem. Potem kazał ją przebrać po turecku i strzedz do dalszych jego rozkazów. Jeden z janczarów, uzbrojonych i stojących u wejścia namiotu, w mig poszedł z rozkazem wezyra. Małanka po zaprowadzeniu jej pod namiot wspaniała i w zmuszonym przebraniu, miała być, zwyczajem haremowym, przez odałyki, to jest pokojówki, umytą, skropioną pachnidłami. To się miało stać wieczorem. Tymczasem czarni niewolnicy podali jej na srebrnym półmisku pieczonego bażanta, i również w srebrnym dzbanuszkę postawili słodki napój z pomarańcz; obok na porcelanowych

miseczkach ustawiono winogrona duże jak orzechy laskowe, — jabłka ciepłych krajów czyli granaty, — daktyle. Małanka ani tknęła tych przysmaków, ustawionych przed nią na dywanie.

Smutna, strwożona, usiadła na jedwabnej otomanie, czyli kanapce bez nóg, oczekując albo zwycięstwa naszych i uwolnienia, albo też w razie przegranych naszych, sromotnej niewoli u Turków, może na zawsze! Postanowiła sobie jednak w duszy raczej przypłacić życiem, niż pozostać w tym haniebnym jasyrze.

— Wielce żałuję — myślała — że nie mam przy sobie mojego podróznego, składanego noża... Ale przecież może tu znajdę jakie ostre narzędzie w ich namiotach, i prędzej wezyrowi ostrze pod żebra utopię i siebie przebiję, jeśliby się ważył na mnie nastawać.

\*

\*

\*

Tymczasem król tejże niedzieli nad ranem, gdy jeszcze mgły wrześnie słaniały się po nad ziemią, dał rozkaz, by całe wojsko sprzymierzone było gotowe i sprawione do bitwy za daniem sygnału z armaty. Gdy się już wyszykowały pułki jezdne, piesze i



artylerya, król rzekł z konia do swego rezydenta, czyli adjutanta konnego w husarskiem uzbrojeniu:

— Biegaj Waszeć do chorągwi swojej, aby tu pan porucznik do mnie z nią przyszedł.

Porucznik — był to stopień oficerski w konnicy, który się równał dzisiejszemu rotmistrzowi.

Gdy rezydent w cwał pomknął z rozkazem, król wziął perspektywę z rąk giermka i ze wzgórza starannie rozpatrywał turecki obóz. Przypędziła klusem chorągiew husarska porucznika Zwierzchowskiego i osadziła konie szeregiem przed królem. W środku tych rycerzy w zbrojach i hełmach stalowych, z dużemi skrzydłami u ramion, powiewała chorągiew z białym orłem, z nawpół czarną i nawpół jasno żółtą kitajką. Wszyscy siedząc na rosłych koniach, oprócz długich koncerzy, to jest mieczy u boku, dzierżyli dziewięciolokciowe dzidy czyli kopie z proporczykami.

! Król rzekł do porucznika:

! — Widzisz Waszeć tę kupkę tam na dole, panie poruczniku?

— Widzę, Miłościwy królu — odpowiedział Zwierzchowski.

! — Otóż sam wezyr tam stoi — mówił król

i patrząc znowu przez perspektywę, dodał:

— Żebyś mi Waszeć, panie poruczniku, tam, w tym namiocie wezyra kopię skruszył, rozkazuję.

— Według rozkazu Waszej Królewskiej Mości — rzekł porucznik z podniesioną prawą dłonią do hełmu swojego. Poczem zawrócił do dwustu husarzów, zakomenderował i naraż niby burza grzmiącą falą, puścili się husarze z kopyta, cwałem, wprost na namiot wezyra.

Przerażona nagłym, niespodziewanym napadem garści rycerzy, z tętentem i szumem skrzydeł pędzących wprost do namiotu wezyra, przed strasznymi ich kopiami rozstała się gwardya turecka strzegąca namiotów naczelnego wodza. Rychło jednak opamiętawszy się, zamknęli Turcy kołem zwartej konnicy tę garstkę zuchwałych rycerzy. Powstał zgiełk, wrzask, szczęk szabel i trzask kopij o pancerze tureckie; wzbiła się pod niebo kurzawa taka, jak kiedy rozszały wicher wyprawia harce kręcone wśród piasków. I tylko z kurzu tego wychylała się wysoko chorągiew husarska; czasami mignęły krzywe szable tureckie, to znowu długie kopie z proporczykami naszych, lub też błyszczące

ich koncerze. Gęste strzały broni palnej mieszały się z tą piekielną wrzawą. Król na wzgórzu z konia zapuścił bystry wzrok w stronę tej walki, dobył z zanadrza wraz ze szkaplerzem drzewo krzyża świętego i żegnał walczących w dolinie rycerzy swoich, modląc się słowami:

— Boże Abrahamów, Boże Izaaków, zmiłuj się nad ludem twoim!

Nareszcie zgiełk, trzask i wrzaski wściekłe ucichły, opadła kurzawa, i za chwilę przypędził z powrotem porucznik Zwierzchowski na czele uszczuplonego nieco hufca husarzy. Wyforował się naprzód i osadziwszy w miejscu przed królem zziąjanego, pianą pokrytego rumaka, podniósł rękę do okrwawionego tureckią krwią hełmu swojego, i rzekł:

— Podług rozkazu Waszej Królewskiej Mości sprawiłem się. Namiot wezyra w puch rozbity!

— Chwała Wszechmocnemu Bogu, że Waszmość pana Bóg żywo i zdrowo przyprowadził. Sprawienie się Waszmości zapisaniem będzie w mojej pamięci.

Zginęło z husarskiej chorągwi w tym zwycięstwie 54 ludzi z dwustu, ale garść ta swem niepokonanem męstwem wszczę-



ła straszny popłoch w obozach Turków. Dopiero teraz dowiedzieli się, że mają do czynienia i z polskim wojskiem. Doszedł uszu naszych z doliny szmer i szum przytłumiony, niby lecących tysięcy os lub szerszeni, który teraz powstał w niepoliczonem rojowisku tureckiego wojska.

Małanka ze swego namiotu słyszała całą tę wrzawę walki husarskiej, lataninę po za namiotami, krzyki, strzały, trzask, przekleństwa, a nawet głosy polskie: "bij! zabijaj!" Wkrótce jednak zgiełk ten straszliwy ucichł i tylko rozkazy, nawoływania tureckie, tupot koni i ludzi dochodziły jej uszu.

Zaraz po powrocie husarzy, król wystrzałem z działa dał sygnał do bitwy na wszystkich punktach. Zagrzmiała bojowa muzyka; z jednej strony: donośne surmy zagrzmiały i załomotały wielkim grzechotem kotły i bębny, — a z drugiej: turecka janczarska muzyka z brzękiem, piskiem i wyciem zmieszana.

Jazda lekka na boki, ciężka w środek, poprzedzając piechotę, runęła z góry na tureckie obozy; armaty sławnego Kątskiego wtórowały muzyce, tureckie działa im odpowiadały. Wystąpiły do boju sprawione szeregi: konne Tatarów, spahisów, Arabów, — piesze:

nizamy z zawojami na głowie i janczarowie, chłopcy setne, ze śpiczastemi kołpakami, złożone po większej części z podbitych Albańczyków i Słowian. Na paromilowej przestrzeni straszna zawrzała bitwa: tętent koni, chrzęst zbroi, brzęk mieczów i szabel, trzask kopij i pik, huk setnych dział, trąby, bębny, krzyki, przekleństwa i wrzaski, zmieszały się w jeden piekielny hałas; sądny dzień nadszedł, zda się, na tej dolinie pełnej już krwi i trupów ludzkich.

Jak to zapisał świątobliwy ksiądz kapelan Marek d'Aviano kapucyn, zaraz w początkach bitwy unosiła się ni ztąd ni zowąd ponad wojskiem polskim biała gołąbka, z czego sobie nasi zaraz dobrą wróżbę snuli.

Król spokojny na tę straszną wrzawę, otrzaskany już z podobnemi zamętami wojny, raz po raz przez swoich rezydentów rozsyłał rozkazy na wszystkie punkta boju a giermek niósł przed nim puklerz w kształcie tarczy herbowej króla, którego i chorąży poprzedzał, i ten dla oznaki, aby wszyscy wiedzieli, gdzie w każdej chwili znajduje się wódz naczelny, przymocował do proporca swego pióra sokoła.

Na prawem i lewem skrzydle, po złamaniu środka, bój trwał dalej; trzymali się najdłużej

bitni janczarowie w przykopach pod Wiedniem, co jeszcze nie wiedząc, czyli też nie zważając na to, że środek armii rozbity, przypuszczali uporczywie szturmy do stolicy. Otoczeni poddać się nie chcieli, i nasi wybili ich jako szkodliwe owady co do nogi!

Pod szablami, kopiami, od strzałów z muszkietów i armat padło w tym pamiętnym jak świat światem boju sto tysięcy Turków i Tatarów; niedobitki uciekały w nieładzie ku Węgrom, by się tam łączyć ze swoimi pułkami. Król wydawał dalej rozkazy, jak dokonać do cna tego przesławnego zwycięstwa, gdzie na jednego z garści naszych i niemieckich żołnierzy godziło bisurmanów dziesięciu. Tak to dawniej walczone, gdy przewodził sprawnie wojakom taki wódz sławny jak Sobieski!

A ów wódz wyniosły uwijał się na swoim cisawym koniu z rozwianą jak chmura grzywą, wśród rozbitego obozu; tysiące jeńców dostawiono przed jego oblicze; uciekających ścigała jazda, dragoni, kozacy a także i piechota. W obozie na polu walki i na szancach zabrano setki armat, znaleziono moc bogactwa; rozsypane po namiotach dukaty tureckie, bogate sprzęty, klejnoty, drogie oręż, buńczuki, wielbłądy, — pyszne



rasy tureckiej konie, błakające się bez jeźdźców i całe kupy kawy, którą Turcy już pijali, a teraz kazał ją król oddać owemu Kulczyckiemu za jego śmiałe przekradzenie się do Wiednia. On też pierwszy w Europie założył kawiarnię w tem mieście, z bogaciwszy się z tego.

Zdobyły związkowe wojska w obozach tureckich razem 270 armat, 36 moździerzy, wozów amunicyjnych 9,000, namiotów żołnierskich 100,000, a miny, to jest podkopy, były nabite milionem funtów prochu.

Zgromadziła się starszyzna nasza około Sobieskiego; nadbiegli książęta, rzucili się królowi na szyję i całowali go w usta, a generałowie niemieccy w zapale wdzięczności całowali mu ręce, nogi i końce połów kontusza, zaś żołnierze niemieccy wołali radośnie: "Ach! unser brave Koenig!" Wreszcie noc zapadła. Zatrąbiono na wojsko, by zaniechało pogoni. Nagle, ponad krańcem rozbitego obozu wybuchła krwawa łuna i zaraz huk straszliwy jakby stu piorunów rozległ się ponad ziemią; niebo wśród ciemnej nocy zajaśniało jak od ogromnego pożaru, a wśród obłoków dymu wystrzeliwały w górę strumienie ognia i czerwone kule armatnie. To ludzie królewscy u-

rzadzili ten wybuch, zapaliwszy tysiące tysięcy funtów prochu, zgoła całą amunicję turecką, której w popłochu nieprzyjaciół odbiegł. Był to widok tak straszny i wspaniały zarazem, jakiego nikt z żyjących wtedy na oczy swoje nie widział.

! Obliczano się po pułkach z ubitymi w szeregi zabitymi i rannymi. Niestety! wśród poległych na polu chwały rycerzy, obrońców chrześcijaństwa, zginął i nasz starosta halicki, pan Stanisław Potocki. Boć to jest tak na wojnie zawsze: gdzie drwa rąbią, tam i wióry leżą.

! Małanka do niepoznania przebrana po turecku, w utrapieniu ogromnem dopytywała się wszędy o swego męża, ale nadaremnie: nie umiano jej nic o nim powiedzieć! Czyżby zginął, nieboże, w tej strasznej, krwawej zamieszce!?

---

### III.

**Opowiadanie Rzepki o Wiedniu.  
Żart Sobieskiego na pobojo-  
wisku. Branka polska w szatach  
tureckich i słówko o jej odwadze,  
a także o tem, jak się cesarz  
wywdzięczył Sobieskiemu za  
pomoc i ratunek.**

Gdy już król kończył objazd pola bitwy i rozpalono ognie jak okiem sięgnąć do koła, przy których żołnierze, zając z kotłów, gwarzyli wesoło, nagle przypędził na dzielnym tureckim bachmacie wpośród tych ogní niby jakiś mułła turecki, w długim chałacie i tatarskim kołpaku. Miał w ręku szablę obnażoną, zbroszoną krwią, a rzed konia, siodło i uzda, błyszczały od złota i drogocennych klejnotów. Coby tu robił ten mułła i dla czego wprost pędzi na króla? — wszyscy się dziwili, a husarze ustawili już dziewięć-łokciowie kopie ku niemu.

— Jam wasz! jam Polak! — zawołał mniemany mułła, osadzając w miejscu przed kró-



lem konia — wracam do Najjaśniejszego Króla naszego. Jestem Rzepka! — dodał.

— Chwała Bogu! — rzekł król, wysuwając się naprzód z koniem — chwała Bogu, żeś Wasze zdrów powrócił! Lecz skądże się tu wzięłeś na tym pysznym, tureckim bachmacie? Jest to chat (koń), jak widzę, z jego rzędu drogiego i ufryzowanej we wstążki grzywy, z pod jakiegoś tureckiego generała, znać to i po kulbace bogatej. Opowiedzno Wasze, co tam słyhać we Wiedniu?

I nasi i niemieckie pułki podparte i ośmielone posiłkami polskimi, ufne w geniusz wojenny Sobieskiego, wszyscy jak lwy się bili. Turecka piechota regularna i janczarowie jako wybrana gwardya sułtańska, bronili się też zapamiętale. Nic to jednak nie pomogło: nie ostali przed natarczywością i przedziwną walecznością polskiego, trzydziestokilkotysięcznego wojska, a szczególnie niezwalczonych husarzy, w połączeniu prawie z taką liczbą niemieckich żołnierzy.

Koniec końców, Turcy, na łeb na szyję, w puch zostali rozbici, i tył podali, bijąc się jednak zacięcie w rejteradzie, jak im to sam król w listach do swojej żony „ślicznej Marysieńki” przyznaje.

W samym zaraz początku, w czasie owej szarży czyli napadu garści husarzy, wielki wezyr, widząc swój główny namiot rozbity i rozszarpany kopiami na sieczkę, dopadł konia i cofnął się na tyły, bo stchórzył okropnie. Uciekwszy ze swego namiotowego miasta wraz z całą świtą, stanął konno na uboczu, wydając rozkazy. Gdy następnie w samym ogniu bitwy spostrzegł, że już i środek obozu mu rozbili husarze, pancerni i dragoni polscy, jeszcze nie dał za wygranę, bacząc na mnogość, na tyle przewyższające siły swoje. Ale gdy ujrzał a raczej dowiedział się, że to sam król lacki, niezwyciężony Jan Sobieski, przoduje swoim konnym hufcom, zdjął go lęk taki, jak nieprzymierzając kota, kiedy mu kto pęcherz z grochem do ogona przywiąże. Kiedy już spostrzegł, że wytrzymać nie może, zawoławszy synów do siebie, płakał jak dziecko, potem rzekł do hana tatarskiego: "ty mnie ratuj, jeśli możesz." Wtedy odpowiedział han: "my znamy lackiego króla, nie damy mu rady i sami o sobie myśleć musimy, abyśmy z duszą uciec mogli." Wtedy widząc zgubę swoich, wezyr kazał zabijać wszystkich jeńców chrześcian, nawet kobiety i dzieci. Sam ich zabrać już

nie mógł, niechże i kto inny ich nie weźmie, na podobieństwo tego psa, co leżąc na sianie, sam go nie zje, ale i krowie nie da. Worki z dukatami kazał do woli rozbierać swoim dworzanom i pokojowym.

I zemknął pierwszy sam wezyr w jednej szacie na rączym koniu, przed nacierającymi tuż husarzami.

Padło sporo nieszczęsnych jeńców pod zbójcejkami, krzywemi jataganami, a między nimi znaleźli nasi i kilkoro niemowląt z przerzniętymi niby baranki gardziołkami; nawet strusiowi kazał wielki wezyr głowę uciąć, żeby i ten ogromny, osobliwy ptak afrykański nie dostał się naszym.

Przyszła w tej okropnej rzezi kolej i na naszą Małankę, strzeżoną w namiocie i siedzącą ciągle w smutnej zadumie na otomanie, łowiącą jednak czujnem uchem rozlegającą się z trzech już stron wrzawę, płacz dzieci i krzyki kobiet, przytem huk i strzały, od których aż namiot jej drżał jak listek osinowy. W ostateczności postanowiła drogo sprzedać swe życie. Spostrzegłszy obosieczny kindżał, zostawiony na dywanie przez pilnującego ją czarnego eunucha, który w czasie bitwy, na wołania zewnątrz, wypadł był z namiotu,



pochwyciła szybko to ostre narzędzie i w rękaw obszernego kaftana, w który ją po turecku przebrali, schowała. Gdy eunuch nie wracał, a wrzawa bojowa wciąż trwała, nagle odrzuciwszy zasłonę namiotu, wpadł inny Murzyn, a spotrzegłszy obcą, brankę, sunął ku niej ze wzrokiem wściekłego kota; wydobył z pochwy zakrzywiony krótki jata-gan i wzniosł go w górę do cięcia. Ale Ma-łanka, porwawszy się z siedzenia, zręcznie odskoczyła w bok i zaraz jak rozjątrzona ty-grysica rzuciła się naprzód z kindziałem, który eunuchowi głęboko pod żebra wsadziła. Padł z jękiem na miejscu; ona zaś słysząc zbliża-jące się okrzyki, przekleństwa, zgiełk i strza-ły ręcznej broni, wypadła z okrwawionym kindziałem na dziedziniec, otoczony budowla-mi lekkimi, drewnianymi i namiotami je-dwabnemi, ozdobiony kwiatami i wodotry-skami. Tętent koni, uciekający Turcy i okrzyki “ha! psubraty, bij! zabijaj! śmierć plugastwu” i t. p., dawały jej poznać, że na-si są już tuż przed namiotami. Wtedy Małanka, pragnąc się corychlej złączyć ze swoimi, wypadła z pośród namiotów, gdzie się przyczaiła za wodotryskiem wśród kwia-tów. Spostrzegłszy samego króla, pędzącego

w jej stronę na czele straszliwych, skrzydlatych husarzy, poczęła wołać, wskazując kindzałem, który trzymała:

— Tu namioty wezyra, tu chrześcianie w niewoli!

Wpadli husarze w ten las namiotów, rozrywali je kopiami, i wygubili do cna niby robactwo domowe tych rzezańców, co zabijali bez różnicy tak haremowe wezyrskie kobiety, jako też chrześciańskie branki i mężczyzn chrześcian. Wyrznęli i błakających się jak w obłędzie tureckich maruderów, a jeńcom pozostałym przy życiu rozcięli szablami pęta.

— Tak się stało, Najmiłościwszy Królu — począł mówić nasz mułła — kiedym się przedarł szczęśliwie przez obóz bisurmanów do miasta, bo nikt mnie się o teskere (paszport) nie pytał, dałem znać zaraz komendantowi o naszych posiłkach i że uderzymy na Turków w niedzielę. Uprzedziłem w tem pana Kulczyckiego, który też przebrany z turecka, tym razem musiał się dłużej wykręcać i wyłgiwać placówkom tureckim. Komendant uradowany, jakby go kto na sto koni wsadził, bo mówił, że nie byłby mógł dłużej nad 5 dni jeszcze bronić poszarpanych kulami murów,

POLISH NATIONAL UNION LIBRARY  
BIBLIOTEKA POLSKA - WSKRZESZENIA  
KONANTON 81

a Turcy już z bliska i podkopy robili, — dał mi zaraz w nagrodę 20 czerwonych złotych i ugościł należycie. Jak mu wolę Najjaśniejszego Króla oznajmiłem, wypuścił kilka zapalonych rac w powietrze, na znak, że wie już o przybyciu odsieczy. Zaraz też przyszedł i pan Kulczycki do niego i stwierdził to, com doniósł.

O świcie wszedłem na wysoką wieżę kościoła św. Szczepana i przyjrzałem się obozowi naszemu i tureckiemu, co się na parę nie ciągnął. Gdym usłyszał huk strzałów i rozpoczęty atak naszych husarzy zawrzała we mnie krew żołnierska. Ledwie sobie nóg nie połamał, zbiegając z wieży, po schodach. Wyprosiłem u komendanta konia i pałasz, wypadłem boczną bramą i korzystając z zamieszania między szturmującymi janczarami, pognałem na prawe skrzydło naszych. Bitwa już wtedy wrzała w najlepsze; złączyłem się z naszymi, gdy wtem, patrząc, umyka co sił starczy, na bardzo pięknym koniu, od strony obozu, ku góróm, jakiś wódz turecki w bogatym zawoju na głowie. Z nim zmykała inna starszyzna na koniach. Sunęliśmy ku nim polem, ale onego wodza, co się znacznie naprzód wyforo-



wał na bardzo szybkim koniu, już nie mogliśmy dognać; uciekał jak wicher i przypiął się do kłębu konia, prawie leżący. Dopadliśmy tylko owej starszyny i wycięli ją do nogi. Mnie się dostał pod szablę jakiś nielada starszy, bo kiedym mu ściał z karku, jak makówkę, brodaty łeb, pochwyciłem oto za cugle tego niezgorszego *chata* z pięknym rzędzikiem, na którym siedzę. W samą porę wpadł mi w ręce, bo mój koń mocno postrzelony zachwiał się i upadł. A i oto, piękną szablę zdobyłem na tym starszym, jak już leżał bez głowy — dodał — obcierając szablę ze krwi połą swojego chałata; — znać, że wpierv dawał się nią we znaki.

— Jak widzę — rzekł król, biorąc szablę do ręki, wysadzaną na rękojeści turkusami, szmaradami i rubinami — jak widzę i z tego napisu tureckiego na niebieskawej stali brzeszczota (a znał król ten język), to szabla ta należała do pierwszego człowieka po wezyrze, Kihai, co nieborak z twej ręki zginął jak ruda mysz w popiele. Winszuję Waszeci i tego sprawienia się i tej zdobyczy, a jako tymczasową nagrodę pozwalam ci jeszcze zabrać z łupów drugiego konia z najbogatszym rzędzikiem.

— W końcu — dodał jeszcze król filuterie, pokręciwszy sumiastego wąsa — jako przydatek, na przysypkę niby, dostaniesz Wasze piękną niewolnicę karagiez odałykę (czarnooką pokojówkę), Turczynkę, cośmy ją znaleźli w namiocie samego wezyra.

— Za miłościwy dar konia i rzedzika sercem dziękuję Waszej Królewskiej Mości — odpowiedział zakłopotany Rzepka — ale niewolnicy, choćby ona była tak urodziwą, jak która z tych hurysk w raj Mahometowym, co to o nich bisurmany plotą trzy po trzy, to jeszcze i nie spojrzałbym na nią proszę Waszej Królewskiej Mości.

— Hm! hm! taki Waść hussyt! — zauważył król.

— Mam żonę — dodał Rzepka — co mi jest najmiłą w świecie i żadna z tureckich nie warta jest oczyścić jej trzewików z kurzu, Najjaśniejszy Panie!

— No, no, Mości rycerzu Rzepecki — rzekł król znowu z dobrodusznym uśmiechem — nie będziesz się Waść tak wzdrygał, skoro tylko ujrzysz tę giuzel hanem (piękną panią). Hola! przyprowadźno ją który z namiotu, tę urodziwą brankę turecką — zawołał Sobieski do gromady stojących opodal żołnierzy.

Gdy Kuba ujrzał przyprowadzoną kobietę przy niepewnych połyskach ognisk, ubraną w szarawary jedwabne, niebieskie, w kaftanik tejże barwy, w fez na głowie czerwony, i że to był wieczór już dobrze szary, nie mógł jej poznać zrazu. Król rzekł niby poważnie mieszając tureckie wyrazy:

— Ano, giuzel odałyko! co mówię, hajmakly hanem! (najpowabniejsza pani) zbliż się i powiedz czy odtąd chcesz należeć jako własność do tego oto Turczyna w hałacie!

— Jok jussak! (nie, nie wolno) Najjaśniejszy Panie! — odpowiedział Kuba również z turecka, broniąc się od stojącej obok pokusy i cofając w tył konia — ja jej wcale nie pożądam, ja mam żonę, ją miłuję jak źrenicę w oku... ja... w Imię Ojca i Syna!... przeżegnał się, jak ongi św. Augustyn, oddalający od siebie szatana, kuszącego go.

— Ha — ha — ha! szczerze rozśmiała się srebrnym głosikiem Małanka. — Jakto? nie chceszz mnie już więcej, mój drogi Jakóbkcu!

— rzekła, odrazu bowiem poznała męża z głosu.

— Co? jakto! tyś moja Małanka? oj, figlarko ty jakaś — zaśmiał się teraz z kolei Jakób, ucieszony niezmiernie, poznawszy żo-



nę po głosie, i ucałował serdecznie rękę, którą mu ta piękna hanem podała na powitanie.

— Ale, cóż znaczy owo przebranie w te szarawary, w te papucie (pantofelki) tureckie? — rzekł.

Dobry król śmiejąc się szczerze z tego żartu naprędce przez siebie usnutego, zakończył w te słowa:

— Czasu mi brak mówić z wami dłużej, — po wojnie zgłosicie się do mnie po nagrodę, bo oboje Turcy dziś jesteście, zasłużyliście się dobrze naszej świętej sprawie.

Zawrócił konia i pojechał dalej na pobożewisko.

Teraz opowiedziała Małanka wszystko mężowi, jak tęskniąc za nim, wyszła nieostrożnie z obozu, jak ją pochwycili Tatarzy i jako w namiocie wezyrskim ubiła rzezańca, który godził na jej życie.

Po chwili dowiedział się Rzepka, iż dobry pan jego, starosta halicki, raniony śmiertelnie w skroń odłamkiem tureckiego granata, kona pod namiotem. Pobiegli tam co tchu Rzepkowie. Na tureckiej otomanie świeżo zdobytej leżał wybladły, z przewiazaną skronią starosta, człowiek jeszcze młody, przykryty delią ze skóry tygrysiej. Obok stało kilku

smutnych rycerzy, a z namiotu wychodził właśnie ks. kapelan Kamieniecki, udzieliwszy umierającemu ostatnich sakramentów.

Na stoliku paliła się oliwna lampa kolorowa.

Poznał gasnącem okiem starosta przybyłego Jakóba, i wyciągnął dłoń ku niemu, którą Rzepka czule ucałował.

— Zgłoś się... do mego ojca w Krakowie — wyszeptał słabym głosem umierający — on cie... za wszystko... nagrodzi... A teraz... weź sobie... tę oto zbroję i... hełm mój na pamiątkę... Ubierz się w to... gdyż jesteś już godzien... być rycerzem.

Tu wskazał ręką zbroję złocistą i hełm przepyszny, które były złożone na drugiej sofie. Innym towarzyszom swoim podarował to szablę bogatą, to konia z rzędem drogocennym, a służbie rozdać kazał wszystkie swoje dukaty, które wziął na wojnę.

Splakał się jak bóbr Jakób i z żalości i z rozrzewnienia wielkiego; wtórowała mu Małanka, a nad ranem klęczeli już nad martwym ciałem starosty, mówiąc pobożnie: "Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie!"

Nazajutrz Sobieski odbył z rycerstwem swoim wjazd zwycięski do Wiednia. Cóż

tam za radość teraz zapanowała, jaki zapal wdzięczności mieszkańców! Lud wołał: vivat noster salvator! (Niech żyje nasz zbawca!) Cisnęli się tłumami do króla, całowali ręce, nogi, skraj szaty królewskiej i cugle jego ci-sawego konia. Kobiety zaś wiedeńskie ułożyły sobie pieśń pochwalną dla bohatera Sobieskiego, co się zaczynała od słów, znaczących po polsku:

“Oto bohater, co Wiedeń zbawił,  
Jakże mu pięknie z temi wąsami.”

Tylko dowódcy austriaccy zazdrosnem patrzyli okiem na te okrzyki i powitania: zabraniali ludowi krzyczeć vivat! a służbę królewską żołnierze austriaccy kułakowali z rozkazu starszych i nawet do niej strzelali.

Ponieważ cesarz Leopold nie spieszył się z powitaniem i podziękowaniem oswobodzicielowi Wiednia i chrześcijaństwa, przeto Sobieski, widząc jego niechęć ku sobie, a dookoła niewdzięczność dowódców i radnych miasta, po nabożeństwie w kościele przyjął tylko obiad u komendanta Wiednia i spiesźnie powrócił do wojska.

Mimo takiej niewdzięczności, król zdobywszy obóz ze stem tysięcy namiotów, wiele rzeczy drogocennych rozdał hojnie: cesarzo-



wi austriackiemu i książętom niemieckim pyszne, tureckie konie z nader cennemi rzędami, i szable, których rękojeście i pochwy od klejnotów i od brylantów błyszcząły. Rozdał im także niektóre chorągwie i buńczuki czyli znaki wojskowe z włosiem końskiem zdobyte na Turkach, a Ojcu św. posłał przepyszną zieloną chorągiew Mahometa z arabskimi napisami, którą przy wezyrze noszono; kipiała, jak to mówią, od złota i drogich kamieni. Kilka chorągwi tureckich z pąsowej materji jedwabnej, ze złotemi wyszywaniami, posłał król do Warszawy i te zawieszono wysoko u sufitu w kościele św. Jana. Nie zapomniał Sobieski o swoich rycerzach, a Marysieńce i dzieciom posłał bogate, misterne sprzęty, naczynia złote na wezyrze zdobyte, kołdry z prześlicznego atłasu chińskiego o kwiatach złotych, poduszki misternie wyszywane, dywany i t. d.

W kilka dni przecież zebrało się cesarzowi Leopoldowi na chwilowe spotkanie z królem; przywitali się więc z koni dość obojętnie, zimno, a w zamian za bogate, brylantami sadzone uzdy i konie tureckie podarował cesarz synowi Sobieskiego, Jakóbowi, tylko szablę z brylantami na rękojeści.

I tyle było wdzięczności ze strony oswobodzonych, bo ani słowem nie podziękował cesarz Sobieskiemu za pomoc, za oswobodzenie Wiednia, za tyle ofiar i krew przelaną polskich rycerzy!

Wreszcie Sobieski, oburzony tą niewdzięcznością, zakręcił węża, skłonił się cesarzowi chłodno i odjechał do wojska.

Pilno teraz było wielkiemu wodzowi ścigać dalej Turków, co się na Węgrzech poczęli znowu gromadzić. Pragnął też co prędzej oddalić się z tych miejsc, gdzie jeszcze nie zdążono pogrzebać wielu tysięcy ciał ludzkich i końskich, z czego powstało trudne do zniesienia, cuchnące powietrze. Żywności też w tych objedzonych stronach brakowało i dla ludzi i dla zwierząt. Pilno było Sobieskiemu na proch zetrzeć potęgę Turków, aby, jak mówił, za rok nie mieć ich u siebie na Rusi Czerwonej i Ukrainie.

W tym pościgu towarzyszyła mu tylko część wojska sprzymierzonego. Upały były nieźnośne, zaduch z gnijących ciał nie do wytrzymania. Pomimo, że władze austriackie zobowiązały się utrzymywać wojsko i konie żywić, pomimo, że Ojciec św. przysłał na ich ręce znaczne pieniądze dla zakupu

furażu, to jest owsa i siana dla polskiej konnicy, wszędy po drodze brakowało Sobieskiemu żywności. Dopiero dalej na węgierskiej, żyznej ziemi, miała armia żywności poddostatkiem.

W pochodzie za nieprzyjacielem, przez nieopatrznie się przednich straży, wpadły pułki niektóre w chytrą zasadzkę Turków, ukrytych pomiędzy krzewami i w chrustach, przy przeprawie przez rzekę pod Parkanami. Zginęło sporo i naszych i Niemców, a król podówczas już otyły, zaledwie samotrzeć z otłuszczonemi bokami, wśród ścisku i naporu własnej jazdy, zdołał wymknąć się Turkom.

Lecz zaraz nazajutrz, kiedy właśnie ujrzało nad królem szybującego orła białego, powetował król z naddatkiem tę porażkę i potem bijąc po drodze Turka, oczyszczał z burszmanów Węgry, twierdze ich biorąc szturmem. Rzecz dziwna, że były i takie twierdze, co na umór biły się z wojskiem niemieckiem i poddać mu się nie chciały, lecz gdy się załogi tych twierdz dowiedziały, że pod mury zbliżył się sam król lacki, Jan, zaraz mu chętnie i z ufnością otwierały bramy.

---



#### IV.

### O zbójcu Tedesko, i o porwaniu dziecka na Pokuciu.

Pomimo zwycięstw i bicia Turków, co jak spłoszone sępy uciekały przed orłem-królem, wojsko Sobieskiego niesłychanych przykrości doznawało w tym pochodzie wśród skwaru od chorób, zjadliwych gorączek i biegunki. Słowem, małało, tajało jak śnieg pod gorącemi promieniami słońca.

W tym pochodzie towarzyszyła Jakóbowi Rzepce nieodstępna, dobra żona, zajmując się po dawnemu kuchnią, żywieniem, obdziewaniem napojów dla dragonów ś. p. starosty halickiego, lub obwiązywaniem ran, gdy który z nich był ranny. Na czele ich walczył ustawicznie Jakób jako ich dowódzca, ubrany teraz jako rycerz w świecący hełm i zbroję lekką, podarowaną mu, jak wiadomo, przez zgasłego pana. Czasami tylko w czasie odpoczynku schodzili się małżonkowie i wzajemnie tęskniąc do swego Staśka, rozmawiali o nim z westchnieniem, nie wiedząc

zwłaszcza, czy jest zdrow lub czy jeszcze zostaje przy życiu; boć to i w one czasy to biedactwo, ta dziatwa mała, kapala jak muchy od różnych chorób.

Zajrzyjmy przeto choć na chwilę na owo dalekie Pokucie, do Zahajpola.

Jak się to później ze śledztwa sądowego okazało, krążył zdradliwie około chaty Franczuków opryszek, niejaki Tedesko, pochodzący z Rumunii. Był on jednym ze zbójów, którzy przed czterema laty w leśnych jarach pod Kołomyją napadli na Rzepkę, gdy samotrzeć jechał z listem od króla do śniatyńskiego starosty. W bójce Jakób trupem położył brata owego Tedeski, i ten z przekleństwem na ustach umknął w gęstwinę boru z drugimi kamratami, pozostałymi przy życiu. Później Tedesko przebrany krążył po okolicy, spotkał na jarmarku w Kołomyi Jakóba, poznał go i przemyśliwał, jakby się na nim zemścić za śmierć brata. Dowiedział się od ludzi, że Jakób ożenił się w Zahajpolu i tam osiadł przy rodzicach żony. Zrazu chciał zbój podpalić chatę Franczuków i w zamieszaniu, dobrawszy sobie towarzyszy, zatłuc Jakóba; ale wypadło mu nagle z bandą zrobić zasadzkę na przejezdnych kupców w wąwo-

zach leśnych, gdzie schwytany, dostał się w kajdany, za kraty więzienne w Śniatynie. Tam przesiedział dwa lata, aż czasu wie-deńskiej potrzeby udało mu się umknąć z wię-zienia. Knując ciągle w myśli zemstę, na swoje zmartwienie dowiedział się, iż Jakób przeniósł się potem do Halicza z żoną i dzieckiem, lecz znowu się pocieszył, gdy go wieść doszła, że z Halicza pociągnął na wojnę, a synka odesłał do starych.

Postanowił przeto wyrzucić zemstę choć na synu tego, co bratu życie odebrał.

— Jeżeli cało z wojny powróci ten Mazur obrzydły — powiedział sobie w duchu Te-desko — to już nie zastanie swojego syna. Będzie już daleko sprzedany Turkom.

W żniwa, Tedesko, sam czarny jak Cygan, przebrał się za żebraka, dobrał sobie Cygan-kę za towarzyszkę i niby po żebrze, niby dla wrózenia, wszedł do chaty Franczuków wte-dy, kiedy stary gazda (gospodarz) z parob-kiem był w polu, przy zwózce do stodoły kukurydzy, więc prosił gazdynię (gospody-nię) o jałmużnę.

Franczukowa, kobieta nieoświecona, i to jeszcze w owe czasy, wierzyła bardzo wszel-kim wróżbom. — Kazała sobie Cygance z dło-



ni mówić, czy córka jej z mężem powróci zdrowo z wojny, i wsypała wróżce w garść kilkanaście miedzianych szelągów. Cyganka rzekła:

— Musicie, panoczka, wyjść ze mną nad strumyk, co płynie za ogrodem, to powrózę o tem z wody i dowiecie się na pewno, jaka jest dola waszej córuchny — bajdurała Cyganka, — bo na dłoni to nie zawsze można dowiedzieć się prawdy.

Franczukowa spojrzała na łóżeczko, w którem spał snem twardym wnuczek z zarumienioną twarzyczką i wyszła ogrodem z Cyganką nad strumyk. Tymczasem, gdy wróżka wrzuciła do wody kamyki, od których robiły się na wodzie koła i plotła starej piąte przez dziesiąte, różne bzdurstwa, Tedesko, co skulony jak półtora nieszczęścia siedział na kamieniu przed chatą, wyprostował się nagle, wszedł do świetlicy i wyjąwszy lekko chłopczyka z łóżeczka wraz z poduszką, żeby się nie przebudził choć na razie, wymknął się chyłkiem ku zapłociu. Okrywszy chłopca, śpiącego jeszcze, połą swej szerokiej opończy, wszedł między wierzby i krzaki, co rosły na łące, a potem znikł w lesie, który czerniał nieopodal od Zahajpola.

We wsi mało kto ze starszych był przy domu; lato było przepadziste; wszyscy spieszyli się ze żniwami, a i dziś od zachodu niebo jakoś poczęło się bardzo chmurzyć; nawet pies Franczuków, czujny Zahraj, był ze swoim gospodarzem w polu. Słowem, Tedesko uszedł niepostrzeżenie z chłopcem w głąb lasu.

W czasie tym Cyganka z owych kół na wodzie długo i przewlekłe wróżyła Franczukowej o córce i jej mężu: iż ma na wodzie wyraźne znaki, że mąż nie zginął dotąd na wojnie, że jest zdrów jak ryba, ale Małanka jeszcze jest w jej oczach za mgłą, mówiła. Oświadczyła jeszcze jej Cyganicha, że musi razem z nią, co do córki, pójść na krzyżowe drogi za wieś. Tam stara Franczukowa weźmie sobie biały kamyk, zawinie go w róg chustki, i jeżeli na tym kamyku przez noc nie pokażą się czarne plamki, to będzie znakiem, że córuchna najmilsza jest zdrowa jak karasek i szczęśliwa jak aniołek w niebie.

Umyślnie oszustka tak przewlekła wróżbę, aby Tedesko miał czas ująć z dzieckiem w bory i góry. Gdy przyszły na rozstajne drogi obie kobiety, Cyganka wyszukała białego kamyczka, zawiązała go w róg chustki

Franczukowej, a potem kazała jej powrócić do domu i nie oglądać się, broń Boże! za sobą, jeno ciągle patrzeć w ziemię; potem trzy razy na około obejść zagrodę i dopiero przestąpić próg chaty, bo inaczej nie udałaby się wróżba, i jeszcze mogłoby się jej pokazać jakie zło z rogami, krowim ogonem, w trójgraniastym kapeluszu i w pluderkach czerwonych.

Przesądna, łatwowierna kobieta wszystkiemu uwierzyła i zrobiła, co jej wróżka kazała.

Upłynęło czasu więcej niż godzinę, nim weszła do chaty, kiedy Cyganicha już dawno znikła w lesie, gdzie w umówionym dzikim jarze zejść się miała z Tedeskiem. Krzyknąwszy trzykroć wrzaskiem sępa, dała znać czarownica Tedesce o sobie. Odezwał się taki sam krzyk i oboje złączyli się w głębokim wąwozie wśród ciemnych jodeł i buków. Stara wiedźma z rąk zbójcy odebrała płaczącego w niebogłosy i wystraszonego chłopca. Zbój poszedł w las, a ona karmiąc dziecko po drodze jagodami leśnymi, skierowała się borami ku węgierskiej granicy, bo umówili się zejść z sobą już na węgierskiej stronie w oznaczonym miejscu.

Łatwo sobie wyobrazić, ale trudno opisać, co się działo w chacie Franczuków, gdy



brakło w niej małego wnuczka! Babka malca, ujrawszy łóżeczko próżne, zrozumiała dopiero teraz, co znaczyła owa wróżba i majaczenie Cyganki! Wydała krzyk rozpaczny i zawodząc głośno, z załamanymi rękami biegła, ile jej starych nóg starczyło, w pole, gdzie mąż z parobkiem był u żniwa. Zanim jednak wyprężono z drabiniastego wóza konie, zanim z parobkiem je dosiedli i pognali w las za mniemanym żebrakiem i Cyganką, bo odgadli, że tam się schronić musieli, upłynęło wszystkiego ze dwie godziny od chwili zniknięcia dziecka. Wpadli do boru ale szukali wiatru po świecie; bór był gęsty, poszarpany w różnych kierunkach głębokimi i skalistymi wąwozami, a wkrótce też mroczyć się poczęło — dość, że Stasiek przepadł jak kamień w wodzie!

Pochylił się Franczuk od zmartwienia, niby stara brzoza, ku ziemi; żona zachorowała od utrapienia na tyfus i bredziła trzy po trzy w mocnej gorączce, wzywając ciągle po imieniu wnuczka, grożąc pięściami i przeklinając Cygankę.

---

## V.

**Bój z opryszkami. Rzepka przewodzi dragonom. I o tem, czem też był niespodzianie nagrodzony za męstwo i dobre serce.**

Dnia 16 października 1683 roku król Jan stanął obozem, w dalszym pochodzie zwycięskim, pod wielką twierdzą węgierską Strygon, co się wznosiła nad brzegiem Dunaju. W trzy dni potem tłumy wieśniaków i wieśniaczek z pobliskiej wioski węgierskiej Szago przybyły, płacząc, przed namiot króla. Błagali go o ratunek, gdyż zbrojna banda opryszków cygańskich i niecygańskich, nocy ostatniej napadła na wieś, poraniła dużo ludu, zabiła kilka osób, złupiła dobytek i dzieci małych kilkoro. Proszący wskazywali na gęsty las bukowy, co się czernił w dali, kędy się miała ukryć zbójcka banda, licząca kilkudziesięciu czarnych prawie na twarzy opryszków.

Król, który wyszedł do nieszczęśliwych

wieśniaków przed namiot, zwrócił się ku otaczającym jego namiot szeregom dragońskim i zapytał:

— Dzieci ! kto pójdzie na ochotnika w te lasy ukarać zbójów, odebrać dzieci skradzione i chudobę biednych ludzi?

Jakób, co teraz dowodził już ciągle dragonami halickimi, wystąpił pierwszy konno na ochotnika. Miał on zawsze serce skore do bratniej pomocy dla nieszczęśliwych i cierpiących, a gdy sobie jeszcze wspomniał o swoim Staśku, co tam zdala na opiece dwojga starych ludzi zostawał, i na myśl o tych burzliwych, wojennych czasach, w których łatwo o nieszczęście,—zawrzał gniewem i pragnął jaknajprędzej tych zbójców i złodziejów dzieci ukarać, a skradzione odebrać.

Król kazał mu dobrać 50-ciu szeregowców i wyprawił ich o świcie nazajutrz do lasu. Kilkunastu wieśniaków uzbrojonych w kosy, widły, i w grube, okute pałki ze szpikulcami na końcach, towarzyszyło dragonom i poprowadziło ich nieznacznie wózem do lasu, co stopniowo wznosił się w górę. Już ci nieszczęśliwi nawoływali się wpierw i z sąsiednich wiosek, by się rzucić, z czym kto miał pod ręką, na opryszków w lesie, lecz nie szło



im to rażno i sił jeszcze dostatecznych ku temu nie mieli. Teraz dowiedziawszy się o przybyciu króla polskiego z wojskiem, zbiegli się tłumnie błagając o pomoc, jakieśmy to co dopiero rzekli.

Przybywszy do lasu, Jakób zasłonięty ze swymi dragonami gęstwiną odwiecznych buków, wysłał chłopów na zwiady, by znanemi im dobrze przesmykami wśród gęstwin i wąwozów mogli dojść do miejsca, gdzie się banda ukryła. Zalecił im wielką ostrożność i ciche sprawienie się w tem poszukiwaniu. We dwie godziny dopiero wysłani przedarli się z powrotem do dragonów, a z twarzy ich widniało rozradowanie. Odkryli bandę, jak na płaskiem wzgórzu, otoczona dokoła skałami i gęstwiną, wesoło biwakowała.

Jakób zakomenderował dragonami, poumieszczając między końmi wieśniaków i zrazu zatoczył całą drużyną duże koło w lesie, które potem coraz więcej ścieśniać się miało w miarę zbliżania się do owego płaskowzgórza, na którem obozowała banda, aby przez takie osaczenie jej i żywa dusza zbójców rąk ich nie uszła. Wieśniacy prowadzili dragonów cichaczem, o ile można było, po szeleszczących, opadłych liściach z drzewin, to gąszczami,

to rzadkim borem, ku owemu wzgórzu. Szczęściem wiatr, co się nagle zerwał i huczał po odwiecznym lesie, zagłuszał stąpanie koni i ludzi. Pod samem wzgórzem napotkali dragoni kilka sztuk bydła i kilkanaście owiec przywiązanych do zaprzężonych dwóch dużych bryk, pokrytych płótnem, których pilnowały wyrostki cygańskie i kilka bab czarnych i pomarszczonych na twarzy. Przyłożenie im szabel dragońskich do gardzieli i pogrozenie śmiercią, w razie, gdyby krzyczeli, utrzymało ich w należytej ryzie. Związano ich postronkami z uprzęży, zakneblowano usta i niby barany zostawiono na ziemi; poczem posunęli się dragoni dalej, niepostrzeżenie, do szczytu wzgórza. Tu z poza gałęzi buków i jesionów oczom ich odkryła się cała banda, do czterdziestu ogorzałych Cyganów i innych opryszków licząca. Jedni z nich leżeli na pożółkłej już trawie, obok dwóch rozpiętych namiotów i palili tytoń z krótkich lulek,— drudzy zajadali z kotłów stojących u ognisk. W środku nich dwóch Cyganów przebranych dziwacznie za baby, w opończach czerwonych i czepcach brudnych wyszywanych złoconemi nićmi, z butelkami w ręku, wyprawiali dziwaczne wykrzywania,

dzikie płasy, wykrzykiwali i popijali z butelek, całowali się. Inny Cygan siedzący na omszałym kamieniu przygrywał im na bałabajce, to jest desce, naciągniętej kilkoma strunami. Wszystkim na ramiona spadały, czarne jak smoła, nieczesane kudły; za pasami błyszcząły zakrzywione noże. Ci i owi, spoglądając z pod dużych kapeluszy na poczwarnie przebranych Cyganów za baby, śmiali się basowym głosem, inni zajęci byli jadłem. Niektórzy też mieli u boku krzywe jatagany tureckie, a o pnie drzew olbrzymich stały opatre spisy i kilka rusznic.

Pośród na wpół leżących lub siedzących dragonów wyróżniał się silny drab, o twarzy nieco bielszej, i o włosach nie tak już czarnych jak sadze w kominie. Wzrost miał olbrzymi, niby biblijny Goliat. Ubrany był w kapelusz z ogromnemi skrzydłami, w czarną aksamitną burkę z dużemi srebrnemi guzami; pod kaftanem zza pasa skórzanego wychylały się kolby dwóch pistoletów i krzywy jatagan. Stała przed nim flaszka z gorzalką, którą niekiedy popijał, obdzierając białemi zębami mięso z całego pieczonego uda baraniego. Z pod namiotów dał się słyszeć płacz i gwar kilkorga dzieci oraz głosy dziewcząt cygańskich.



Jakób, uszykowawszy dragonów do koła wzgórza, dał po cichu komendę, opasał z poza drzew niby obręczą bandę Cyganów tak ściśle, że koń od konia o parę kroków zaledwie był oddalony.

— Formuj się! — naprzód! zawołał nagle.

Dragoni wyskoczyli na koniach z poza drzewin.

— Tuj! — krzyknął Rzepka, i sam pierwszy wystrzelił na wiatr, a zaraz i drudzy, jak się umówił z podkomendnymi, aby opryszków najprzód zastraszyć i bez rozlewu krwi wziąć w niewolę.

— Poddajcie się! zawołał.

Ale ów drab, widocznie dowódzca opryszków, porwał się, wypalił z pistoletu do naszych i zranił w nogę jednego dragona. Porwali się i inni opryszkowie do broni i też poczęli strzelać. Zabili jednego konia. Wtedy rozwścieczony Rzepka wpadł piorunem na zbójów, wołając do swoich:

— W nich! ciąć, bić, bez miłosierdzia! — i przyskoczywszy do wywijającego pałaszem przywódcy, jednym cięciem szabli rozjechał mu głowę.

Dragoni nie dawali teraz opryszkom pardonu, przebaczenia; każdy ginął, który się

tylko ostro stawiał. Padło ich prawie w jednej chwili kilkunastu pod szablami żołnierzy i kopytami koni; kilku też zarabali wieśniacy siekierami. Pozostałych, którzy rzuciwszy oręż, na kolanach błagali o darowanie życia, związano postronkami, które dostarczyli chłopci.

! Rzepka, zsiadłszy z konia, podszedł ku namiotom. Zaraz też trzech wieśniacy poznali skradzione sobie dziatki, co leżały pod namiotami i w uniesieniu radości pobiegli z niemi natychmiast lasem do płaczących w domu żon swoich. Z ostatniego namiotu dał się słyszeć płacz dziecka, który wstrząsnął całym ciałem Rzepki. Płacz ten był mu tak jakoś znany!... Wchodzi pod namiot gdzie były dwie dziewczyny cygańskie, skulone ze strachu w samym kącie. Na pożółklej trawie przewracało się dwoje brudnych, na pół nagich, cyganiątek, a obok trzymając w ręce kostkę obgryzioną z mięsa, siedział i płakał, może z głodu, na oko trzechletni chłopczyk, w cienkiej, ale bardzo brudnej koszulce, o jasnej główce, ciemnych oczkach i licach nader zamorusanych.

— Co to jest? — krzyknął Jakób zbladły jak chusta — skąd macie to dziecko? — za-

wolał na przestraszone dziewczyny cygańskie.

Nie czekając odpowiedzi, wpatrzył się baczenie w twarz chłopca, i przemówił czule:

— Stasiek! — nie poznajesz-to swojego ojczulka, biedaczku? — i uniósłszy go w górę ku swoim oczom, ucałował w zamorusaną buzię.

Dziecko, które zaraz przy wejściu Jakóba przestało płakać i baczenie spoglądało, teraz poznawszy głos ojca, objęło go oburącz za szyję, śmiejąc się i wyrzekając z łezkami w oczach:

— Tato! tato! mnie zbójce ukradli. Gdzie mama?

Potem całowało w oczy, w czoło, w usta mocno wzruszonego i jak z nóg zciętego ojca.

— Mama cię czeka stąd niedaleko, mój chłopysiu! rzekł Jakób. — Mój Boże! — dodał ktoby się był tego spodziewał, żebym ja cię tu gdzieś na przedpieklu znalazł między zbójcami!

Istotnie, dziwnem zrządzeniem Bożem nasz Jakób odnalazł dziecko swoje, o którego skradzeniu przez cygańskich opryszków ani się nawet nie mógł domyślać. Dobrze jego serce i ta skwapliwa uczynność dla nieszczęśli-



wych, została na miejscu w tym samym uczynku wynagrodzoną. Gdyby Jakób miał serce z kamienia i nie był wyszedł na ochotnika ścigać, aby ukarać zbójów i powrócić rodzicom skradzione dzieci, jużby mu jego Stasiak przepadł był na wieki, jak kamień w wodzie!

Pomyślże teraz dobry czytelniku o tem, jak to się dziwnie plecie na tym Bożym świecie; i że, kto drugich w nieszczęściu ratuje, sam sobie szczęście gotuje... Nie zamykajmyż serca dla cudzej niedoli!

Zapytane groźnie przez uzbrojonego Jakóba dziewczyny cygańskie, i wystraszone pogromem swoich, wyśpiewały natychmiast wszystko, wskazały nawet Cyganek, co pilnowała tam na dole wozów i skradzionego bydła, tę samą, która też skradła na Pokuciu chłopczyka, razem ze współnikiem, co się nazywa Tedesko. I aż mrowie przeszło po ciele Jakóba, jak mu jeszcze powiedziały, że chłopczyk ten miał być sprzedany Turkom do miasta Budy lub Belgradu, jakby się już trochę więcej podchowwał w bandzie.

— A gdzie się podział ten łotr Tedesko? — zapytał dziewczyny Jakób.

— A won — odpowiedziała łamanym, z ru-

sińska, językiem — tam leżył ubytyj pid dremom, a win maje sribni guzy u kaftana.

— Jakto? ten sam — zawołał zdumiony Jakób, o! niedocieczona sprawiedliwość Boża, toż złodziej i zbój padł właśnie z tej ręki, pod szablą tego, któremu chciał największą w świecie krzywdę uczynić!

Zbliżył się potem do rozciągniętego na skrwawionej trawie draba, by mu się baczenie przyjrzeć i przekonał się, że złodziej jego dziecka nie do cna jeszcze zabity. Miał oczy przymknięte, z głowy rozplątanej i boku postrzelonego krew się sączyła, ale piersiami jeszcze ciężko robił. Pragnąc go powrócić, jeśli się da, do życia, aby się dowiedzieć czegoś więcej o okolicznościach i powodach tej kradzieży dziecka, Jakób przywołał z pod namiotu dziewczyny cygańskie, kazał im obmyć wodą ranę, przewiązać, i dać śmiertelnemu jakie leki, jeśli je mają. Dziewczyny mchem zatamowały mu krew płynącą z ran, potem poskoczyły w las, nazrywały jakichś ziólek, ugotowały je i wywarem z tego rany choremu obmywały, znać skutecznie, bo ranny otworzył wreszcie oczy i tylko jęczał jeszcze kiedy niekiedy. Głowę miał jeno z boku przeciętą, mózg nienaruszony, a

śnie bowiem, gdy niedola dochodziła do najwyższego stopnia, gdy przemysłem ludzkim nie umiał sobie poradzić, w tej chwili Bóg mu dał dowody ojcowskiej pieczołowitości. Oto od podstawy gór słysząc jakiś szmer, dalej tętent kopyt, i już można zrozumieć głos poganiającego muły. Kupcy stawają przed chatą, dając wypoczynek sobie i bydłu. Starzec pocieszony wychodzi ze swego mieszkania i zaprasza do siebie.

“Skąły. zasłonią was przed zimnem,” mówi “i spokojnie spoczniecie, owinięci w płaszcze, a muły znajdą dosyć żyznej trawy na pożywienie.”

Podróżni chętnie zaproszenie przyjęli, weszli do skalistego zacisza i posiadali około kamienia za stół służącego. Pustelnik z danych sobie zapasów sporządził wieczerzę. Gdy ją wspólnie pożywali, dobył naczelnik karawany kilka butelek malagi i pokrzepił nią tak starca jak i towarzyszków. Wszczęła się tedy poufna gawęda. Pustelnik dopytywał się potem o rozmaite nowiny z kraju, aż wreszcie odważył się zapytać o powodzenie hrabiego de Mendoza i co ludzie sądzą o hrabim de Palma.



w boku jedno tylko żebro postrzelone. Przeniesiony potem przez wieśniaków na noszach z gałęzi do wsi, i strzeżony, po wyleczeniu został oddany do sądu, gdzie przy śledztwie wykazał właśnie powód swej zemsty i wywarcie jej choć na dziecku, gdy nie mógł na ojcu, jak to o tem już wspomnieliśmy poprzednio. Sąd wojenny skazał Tedeskę na powieszenie i wyrok niebawem został wykonany. Zginęli na szubienicy i współwinowajcy Tedeski, a stara Cyganka-wróżka, nie mogąc znieść zgryzot sumienia, w więzieniu sama sobie o piec głowę rozbiła.

Któż może wystawić sobie przerażenie i zarazem nieopisaną radość Małanki, gdy jej do obozu przywiózł Jakób na swym "Karasiu" ukochanego Staśka! Poznał odrazu swą matkę chłopczyk, całował ją, gaworzył rozkosznie, a matka to płakała z radości, to śmiała się ze łzami w oczach, i jakby od zmysłów odchodziła.

Dowiedział o tem wszystkim i król; podziwiał osobliwszy traf odnalezienia skradzionego dziecka i błogosławił rękę Opatrzności, która w niepojęty sposób kieruje nieraz krokami ludzkimi.

---

Szykując się do zdobycia tej wielkiej twierdzy strygońskiej, kazał król postawić most z pontonów na Dunaju, to jest z beczek spojonych z sobą łańcuchami, z pomostem na wierzchu. Trwały te przygotowania przez dni cztery.

W tym czasie wdzięczni wieśniacy węgierscy za oswobodzenie ich od rabuśniczej bandy opryszków i powrót im dzieci wraz z dobytkiem, zwozili i znosili do obozu polskiego, czem chata była bogata, — więc żywność dla ludzi, siano i obrok dla koni. Król kazał im hojnie za wszystko płacić zdobytymi pieniędzmi. Pod namiot też Jakóba, jako dzielnego dowódcy dragonów, znieśli huk masła, sera, bryndzy węgierskiej, miodu w plastrach i kukurydzowego chleba tyle, żeby na cały szwadron starczyło przez kilka dni. Wieśniaczki przyniosły Małance chusty wełniane i szale tureckie, aby się ciepło miała czem okryć w ten czas, już chłodny, jesienny i bardzo dżdżysty. Zaś dla małego Staśka ta i owa przyniosła to buciki węgierskie, sznurowane wysoko, z futerkiem, to ładny kapelusik pilśniowy z pawiem piórką, to wyszywany kolorowo kożuszek wę-

gierski. Za to wszystko zapłaty od Jakóba w żaden sposób przyjąć nie chciały.

Wreszcie król kazał przejść konnicy, piechocie i artylerji po gotowym już moście. Wśród deszczu, co lał jak z cebra, rzuciło się w skok wojsko do ostrokołów, i na okopy czyli szańce. Turcy widząc wielką fantazyę naszych, a przytem liczne wojsko połączone, po krótkim, acz zaciętym boju, podpalili sami przedmieścia i odstrzeliwując się, zrejtrowali do obronnego zamku na wzgórzu. Gdy Sobieski, osobiście kierując zdobyciem twierdzy kazał przypuścić szturm i do zamku, Turcy nadspodziewanie, choć mieli 6,000 wojska, zaraz wywiesili białą chorągiew, na znak, że się poddają i oddają w niewolę.

Nasi przyprowadzili przed króla czterech baszów czyli generałów, wziętych w czasie walki i w owym zamku do niewoli. Jednego z nich baszę z Alepu, bardzo ważnego wodza, ranił w boju nasz Rzepka, a teraz związanego przyprowadził przed oblicze królewskie. Baszowie padli przed królem na ziemię, całowali skraj jego kontusza i błagali o darowanie im życia. Król przyrzekł, iż ich wymieni na jeńców chrześcijańskich, których Turcy trzymali w Belgradzie, dzisiejszej stolicy



serbskiej, a podówczas jeszcze pod jarzmem tureckiem będącej. Razem w Strygoniu poddało się Sobieskiemu przeszło 4,000 Turków, a kilkaset ich w boju padło. Wszystkim jeńcom, odebrawszy oręż, kazał iść do domu, a Węgrów Tekielego, co się łączyli z Turkami przeciwko Austryakom, puścił król nawet z bronią i całym rynsztunkiem do domu, dawszy im nawet sporo zdobytych piastrów (pieniędzy tureckich) na drogę, bo mówił, że przyszedł tu bić się nie z chrześcianami ale z poganami.

Pytał król owych baszów (generałów), przez co tak prędko poddali tę wielką twierdzę?

— O! lacki Padiszachu, Effendim! (monarcho, panie!) rzekł z nich jeden, całując Sobieskiemu skraj kontusza, my ciebie i boimy się jak ognia i szanujemy jak własne czoło.

Armaty, chorągwie, amunicję i dukaty tureckie, zdobyte w Strygoniu, rozdał król między swoje i sprzymierzone niemieckie wojska. Dostał i nasz Rzepka piękny, prawdziwie turecki szal i sztukę materii jedwabnej dla swej Małanki, a prócz tego otrzymał garść tureckich czerwonych złotych, jak niemniej szablę drogocenną z klejnotami na pochwie i rękójści, po owym baszy alepskim, którego

usiekł w czasie szturm. Przydała mu się, ta nowa, ze stali damasceńskiej szablica, bo owa, którą miał, okrutnie się już stępiła i nawet wyszczerbiła na karkach tureckich. Rzepka nigdzie próżnować nie lubił.

Tak więc Strygoń i całe Węgry aż po Peszt-Budę, od lat 140 jęczące w niewoli tureckiej, oczyścił Jan III. i oswobodził od nieprzyjaciela.

Zadał też cios Turkom pod Wiedniemi na Węgrzech tak silny, że odtąd potęga turecka maleć i do upadku chylić się poczęła. W dodatku Sobieski uratował w Europie chrześcijaństwo.

Pora zimowa szybko jakoś tegoż roku 1683 nastąpiła w tych stronach; odrazu schwyciły przymrozki i spadły śniegi okrutne. Sobieski tu pod Strygoniem zakończył ową krwawą, zwycięską kampanię. Odpuścił wojska niemieckie, które na zimowe kwatery zająć miały cały kraj aż ku Szląskowi, a polskie postanowił król rozłożyć na zimowe leże w reszcie Węgier, poczynawszy od miasta Koszyc, i w Siedmiogrodzie. Tak król skończył tę wiekopomną wiedeńską potrzebę, przez którą nasi, prócz wielkiej sławy, wielką przysługę oddali całemu chrześcijaństwu.

## VI.

**Śmierć "Karasia." Powrót tu-  
recką bryką rodziny Rzepków  
do ojczyzny. Królewska nagro-  
da dla wojaka, i o folwarku Ma-  
łanówce.**

Teraz i nasz Jakób mógł już ze swoją Ma-  
łanką i Staśkiem powrócić do domu. Król  
mu dał zupełne uwolnienie od służby wojsko-  
wej. Na zamek halicki nie miał już po co  
wracać Rzepka; nastały tam teraz inne  
rządy, inny wszedł starosta. Postanowił za-  
tem z pod Strygonia wprost pojechać na  
Pokucie. Pilno mu było i wypocząć i wraz z  
Małanką przywitać rodziców, uspokoić i po-  
kazać im co rychlej zdrowego wnuczka, któ-  
rego stratę pewnie tam gorzko opłakiwali.  
| Zapomnieliśmy nadmienić, że w czasie  
szturmu do Strygonia zginął ulubiony jego  
towarzysz bojów, wierzchowiec "Karaś," na  
którym w dwudziestu kilku bitwach tak szczę-  
śliwie walczył, bo tylko raz został zranionym  
pod Kalnikiem jeszcze. Poczciwe to, wierne



i bardzo pojętne konisko padło przy pierwszym ataku dragonów na palisady czyli ostrokoły strygońskie, przeszyte w pierś kulą janczarską. Zsunąwszy się z kulbaki Rzepka, rozwścieczony tą stratą, pieszo uderzył rozszałałą swą szablicą w Turków i ciął wtedy właśnie owego alepskiego baszę, a uchwyciwszy jako jeńca zranionego, na tyły go odrzucił. Poczem, po poddaniu się zamku, z żalem pogrzebał sam na polu bitwy swego Karasia, a król kazał mu wziąć sobie najlepszego ze zdobytych tureckich bachmatów.

Że zaś, jakeśmy to już wspomnieli, Jakób miał jeszcze dwa odwodowe, bardzo ładne i cenne konie wprzód zdobyte, przeto otrzymawszy od króla pokrytą płótnem dużą turecką samarę czyli kibitkę z pomalowanemi kwiatami na pudle podłożnem, to jest wasagu opartym na czterech rzeźbionych słupkach, u wierchołków których powiewały kity z piór, — przeto zaprzął w nią teraz trzy własne konie i upakował zdobyczami tureckimi. Otulił Staśka w kożuszek węgierski, pięknie wyszywany, a Małankę w tureckie, lekkie futro z białych kóz angorskich, i poszedł pokłonić się i podziękować królowi przed puszczeniem się w drogę. Sobieski, co

stanął kwaterą w zdobytym zamku, dziękując Rzepce za tyle poświęcenia się dla św. wiary i ojczyzny, za waleczność godną wielkiej pochwały, kazał sekretarzowi swemu wziąć papier i pióro, pytając zarazem Jakóba:

— No, i gdzież Waść pragniesz teraz osiąść z żoną i synkiem?

— Najmiłościwszy królu — odpowiedział Rzepka — choć teraz pragnę pojechać do moich teściów na Pokucie, ale to zawsze dusza ciągnie ku rodzinnym stronom.

— I gdzież to? — pytał dalej król.

— Stąd daleko, w Krakowskiem, pod Proszowicami we wsi Rawałowicach świat ujrzałem; tam zabili mi Szwedzi rodziców, tam też na ich mogiłkach pragnąłbym się pomodlić.

— Dobrze! rzekł na to król — wybierzesz sobie Waść miejsce, gdzie ci się podoba. Pisz Waść, panie sekretarzu, z łaski naszej królewskiej, darowiznę na wieczne czasy dla Jakóba Rzepki, cum lassis (z lasami), łanów dziesięć, graniciebusque (i z granicami) pewnemi, a to w dobrach naszych królewskich Województwa Krakowskiego, id est (to jest) gdzie sam sobie Jakób Rzepką locum (miejsce) obierze i wskaże.

Gdy sekretarz pisał akt nadania, Rzepka ucałował kolana dobremu i wspaniałemu królowi, a ten rzekł jeszcze:

— Nadto, Mości Sekretarzu, dodasz, com przepomniiał: jako z mej woli królewskiej Jakób Rzepka zostaje mianowany Kawalerem, to jest vulgo (zwyczajnie) rycerzem, ergo (a więc) szlachcicem i oficyjerem, alias (inaczej) towarzyszem naszego królewskiego, kwarcianego wojska.

A teraz — dodał król — Mości rycerzu Rzepko, bywaj zdrów, niech cię Opatrzność Boża zaprowadzi szczęśliwie w podróży. — I na znak swej łaski monarszej podał Jakóbowi rękę swoją do pocałowania.

Gdy następnie Rzepka wyszedł z zamku, niosąc papier pergaminowy z dużą pieczęcią królewską, wyciśniętą na wosku i wiszącą na sznurku u pergaminu, i gdy się jego towarzysze dowiedzieli o tych łaskach królewskich i zasłużonej nagrodzie, wykrzyknęli prawie jednogłośnie:

— Niech żyje Rzepka! — a inni dodawali: —vivat nasz pan brat szlachcic! towarzysz! oficer!

Tak wołali rycerze — szlachta, co sobie pewnie przypomnieli, że tak samo ich przed-



kwie niegdyś było paśli, ryby łowili, grunta orali, trawę i zboże kosili, drzewo obrabiali lub barcie w puszczech hodowali, i dopiero potem, tak samo jak Rzepka, za zasługi położone dla ojczyzny i dla wiary szlachtą zostali i dobra dostawali.

Tak wołali rycerze i podniosłszy Jakóba na rękach do góry, nieśli wielce rozradowanego do jego krytej samary, w której tuż przy obozie Małanka z synkiem już siedziała. Na samem odjezdnem wołali jedni: „szczęśliwej drogi!” drudzy: „dobra doroha;” Turcy renegaci, to jest sturczeni Słowianie, co teraz przechodzili na stronę Sobieskiego, krzyczeli po swojemu: *ur-ałtah!* (dobrej drogi). — *Elien!* (niech żyje) Rzepka! A *Iszten* na diumek! (niech Bóg prowadzi) huknęli Węgrzy, rzucając czapki w górę. *Lebe wohl!* (Bądź zdrów!) kończyli żołnierze niemieccy. Wreszcie odjechali Rzepkowie. Wkrótce szeroki Dunaj, wieże kościelne i zamek strygoński zniknęły z przed oczu podróżnym.

W lesie bukowym w którym to Rzepka rozbił opryszków, dopędziło ich dwóch dragonów konnych; król i tym pozwolił do Halicza powrócić, ile że to byli żonaci. Jechali razem i było im bezpieczniej. Przebywszy

góry, lasy, doliny, rzeki Drawę i Cisse, wpadające do Dunaju, przeprawiając się przez nie promami, przejechawszy przez miasto Tokaj, skąd to są owe sławne, słodkie wina węgierskie — stanęli raz na nocleg w mieście Munkaczu, położonem wśród odnóg gór Karpackich. Dom zajezdny trzymał arendarz, Żyd wysoki z długimi pejsami, świderkowato spadającemi od uszu, w jarmułce kolorowej, w pończochach i chałacie atlasowym, szamerowanym z węgierska. Dowiedziawszy się, że ma przenocować polskich żołnierzy, przyjął ich chętnie, ile, że liczył i na hojny odbył, boć to żołnierze ci wracali z wojny, a więc i kieszenie mieli nie puste. Na zawołanie znosił podróżnym co miał najlepszego, jak mówił, więc i szczupaki marynowane i wódkę pejsakówkę i masło i wino cienkusz węgierski, a gdy któryś z dragonów, brząknawszy szablą, zażądał ostro węgierskiej słoniny z papryką, — arendarz zrobiwszy wystraszone oczy, kazał dla nich zabić dwie karmne gęsi i upiec, aby tylko *hazer* u niego nie powstał. Dragoni zjadłszy to, zażądali słynnej kielbasy węgierskiej. Jeszcze się więcej hussyt przeląkł i żeby tylko ułagodzić żołnierzy z długimi szablami, postawił im

na stół gąsiora wybornego, już nie cienkiego węgrzyna, aby tylko jaknajprędzej zapili pamięć o węgierskiej kielbasie.

Z tego wszystkiego Małanka serdecznie się uśmieła, a wojacy wraz z Rzepką w dobrym teraz humorze zapalili lulki i poczęli śpiewać pieśń, jak mówili, o psubratach poganach, i o królu Sobieskim, jak następuje:

Nasz Sobieski konia toczy,  
Turczynowi pluje w oczy — Hej — ha!

Pluje w oczy, po łbie wali,  
A my obóz im zabrali — Hej — ha!

Król Jan bitwy nie odwlekał,  
Na kapustę ich posiekał — Hej — ha!

Arendarz zakręciwszy sobie sznurkowate pejsy, poprawił jarmułkę na głowie, i stojąc za krzesłem Małanki, ośmielił się teraz do pogawędki. Więc zapytał Jakóba: gdzie się teraz król Sobieski znajduje?

— Ciągnie z wojskiem za nami do miasta Koszyc, na zimowe kwatery — odpowiedział Rzepka.

— Aj! aj! co to za król! co za król! ny, ny... cmokał arendarz — to taki wielgi król, jak był nasz Gedeon, jak Dawid. Ny, a co teraz o tym Ahaswerusie tureckim, o tym prawdziwym Czarnym Mustafie słyszać?



— Uciekł z budy aż do Belgradu — odpowiedział Rzepka — a po drodze ścina łby baszom, że źle się biją.

— Ny, niech go czarny dyabeł porwie! uciekł z Budy, niech idzie jak pies do drugiej budy, on naszych dużo pomordował i w Cisie i w Drawie potopił. Ny, to już teraz nie ma wcale na Węgrzech tych tureckich hazerów? — pytał dalej.

— Niedobitki uciekają do Serbii i Turcyi — objaśniał go Jakób, ale po drodze jeszcze Szecin wzięli.

— Ściecin? ny, coby te złodzieje nie wzięli! oni mojemu krewnemu w Preszburgu nie tylko ścieciny, ale i wełnę, co była na górze wzięli, i owce i pieniądze! tak, nietylko ścieciny wzięli te rozbójniki.

Uśmiali się nasi podróżni z tego przekreślenia węgierskiej twierdzy Szecin na świńską szczecinę; potem udali się na spoczynek. Nazajutrz, skoro świt, zapłaciwszy arendarzowi, puścili się w dalszą drogę.

Przejeżdżając jeszcze wsie i miasteczka, pnąc się coraz wyżej w góry, już po grudzie dojechali do samych Karpat. Kazali kowalowi ostro podkuć konie, a że w górach już spadły duże śniegi, przeto Rzepka kupił obszerne sianie w jednej z wiosek górskich, osadził wasąg na nich i koła z tyłu przymocował do pudła wasagu. Powoził Węgrzynek, który jako sierota zupełny, zgodził się na służbę do

Rzepki i chciał, jak mówił, na Mazurach zamieszkać na zawsze. Dla dróg niepewnych i zasypanych śniegiem w górach, Rzepka najał gazdę, to jest gospodarza Huculą, który wsiadłszy na konia, zobowiązał się przeprowadzić ich bezpiecznie na tamtą stronę gór, na Pokucie.

W drodze zostali napadnięci przez stado wilków, lecz że było pięciu mężczyzn, którzy oprócz pistoletów mieli jeszcze szable, a Hucul rusznicę i kij sękaty z siekierką, przeto obronili się im jakoś, i jeszcze Rzepka dwie skóry zaraz zdarte z wilków, wrzucił do wasagu, aby Małance i Staškowi ciepło było w nogi. Raz się i mysio czyli niedźwiedź karpacki pokazał, ale poczęstowany strzałem w sam nos, przewrócił się, wstał jednak i biegnąc na dwóch tylnych łapach chwilę za saniami, ukrył się potem w gęstwinie jodłowego lasu. Wreszcie po dwóch dniach i dwóch nocach ciężkiej po górach jazdy, nocując na pustkowiach, przedostali się na polską stronę. Tu w miasteczku Delatynie, Hucul wynagrodzony powrócił nazad, dwaj dragoni skrzyśli na lewo ku Haliczowi, a Rzepkowie puścili się w strony Kołomyi na Pokucie.

Na trzeci dzień dojeżdżali już o zmroku do Zahajpola. Jakób zatrąbił wesołą, wojenną pobudkę na trąbce kawaleryjskiej, którą wziął z sobą, by Staśka w drodze zabawić

trąbieniem. Jakby na rozkaz, zaszczekały wszystkie psy w Zahajpolu i powybiegały na ulicę wraz z ludźmi, zaciekawionymi, coby to za wojsko do ich wsi, będącej na uboczu, zaglądało?

Małanka, pomimo zimnego powietrza, mocno zarumieniona od wzruszenia, zda się, chłoneła oczami chatę rodzinną, do której się zbliżali. Wreszcie Jakób kazał przystanąć przed drzwiczkami, co były w parkanie chaty Franczuków. Wyszedł stary z izby, wołając na Zahraja, żeby cicho był i nie ujadał szczekaniem. Otworzywszy drzwiczki, wyszedł mocno przez ten czas podstarzały, ze schyloną głową na ulicę, i stanąwszy przed saniami, zapytał:

— Kohoż nam Boh daje w hosti?

— Wże mene ne pamiatajete, bat'ku dorohyj? zawołała z sanek Małanka.

— Miłostywyj Boże! czyż to ty nasza doczka myłaja, luba Małanka? — zawołał Franczuk rozrzewnionym głosem i zaraz dodał smutnie:

Wetykie nieszczastie stałoś, Małanko; propau twij synok sokołyk, — ne narikaj na nas myłaja, my ne wynowati... Małanka zawołała:

— Tutki mij synok, bat'ku, wasz wnuczok! podywit sia, bat'ku. I unosząc z siedzenia Staśka, podała go do rąk dziadkowi.

— Wetykyj Boże mij! — zawołał z rado-



ści stary, — win żywyj, nasz Staszuk do-  
rohenkij, i poczał ze wszystkich sił całować  
malca, który także poznawszy dziadka, ob-  
jął go, śmiejąc się, rączkami za szyję. Po-  
czem nie witając nawet przybyłych, pospie-  
szył z wnuczką do chaty, wołając w progu  
do żony:

— Hlady, stara, najszou sia nasz wnuczek!  
win żyw i zdrow, no, chody, hlady.— Hod  
wże naszoi żurby! Boże mij miłostywyj!

Franczukowa zakaslnawszy, podniosła się  
z łoża, oparta rękami o posłanie; ciągle bo-  
wiem kawęczała, przeszedłszy ze zmartwie-  
nia tyfus straszliwy.

Radościom, powitaniom, uściskom, za-  
pytaniom i opowiadaniom o wszystkim, co  
tutaj i tam na wojnie zaszło, nie było miary  
i końca. Gdy już pierwsze wybuchy radości  
minęły, Jakób poznosić kazał Węgrzynkowi  
z sani skrzynki, skrzyneczki, baryłeczkę wina  
i różne tobołki. W nich były cenne podarki  
dla Franczuków i krewnych Małanki. Ona  
też pokazywała rodzicom swoje złote łańcu-  
chy, sznur pereł, futro, adamaszkowe mate-  
rye — a wszystko to już zdobyte było na  
Turkach, już też za bezcen kupione po zdo-  
byciu tureckich obozów pod Wiedniem, Par-  
kanami, Strygoniem i po wzięciu twierdz.

Stasiek, którego ubranego w węgierski ka-  
pelusik i kożuszek wyszywany, babka serdec-  
znie pieściła, natarczywie zawołał jeść. Pod-

czas, gdy Franczukowa zakrzętnęła się około komina, Jakób odszpuntował przyniesione wino i hojnie uczęstował teścia, sąsiadów i sąsiadki, którzy się tłumnie zebrali na powitanie Rzepków.

\*

\*

\*

Pod wiosnę, gdy już śniegi po wzgórzach i dolinach stopniały, a ustaliła się droga wozowa, udał się Jakób w strony Krakowskie. Chciał się pomodlić na mogiłkach rodziców, dopytać się o jakich może krewnych swoich w Rawałowicach, a wreszcie, aby upatrzyć sobie grunta na królewskiej jakiej, dla założenia folwarku wedle pisma nadawczego od króla. Jakoż wynalazł miejsce dogodne na ten cel około Proszowic, o dwie mile od Rawałowic, gdzie się też niezadługo pobudował i folwark swój nazwał Małankowo, od imienia swojej dobrej, uczciwej żony i dzielnej kobiety. Nie potrzebujemy dodawać, że Jakób już to z zaoszczędzonych pieniędzy, już też z nagród pieniężnych od króla i ze sprzedania zbywających szabel tureckich, wysadzonych drogiemi kamieniami, nieźle miał kabzę nabitą. Nie pijał, nie grywał w karty, był oszczędnym, przeto doszedł do mienia.

W aktach grodzkich zapisano nowy folwark Małankowo jako własność wieczystą małżonków Rzepków. Gdy się tu na dobre

Rzepkowie sprowadzili i zamieszkali, Bóg dał im córeczkę. Kolejną rzeczą Franczukowie umarli wkrótce jedno po drugim, a najprzód teściowa. Małanka zrzekła się praw swoich spadkowych, za zgodą męża, do połowy własności wieczystoczynszowej zagrody w Zahajpolu, a to na rzecz sierot po stryju; drugą połowę gruntów wypuścili w dzierżawę. Zostawili też sierotom na gospodarstwo połowę chudobiny, drób wszystek, narzędzia i statki gospodarskie. Bóg im nagroził tę szcudrośliwość i miłosierdzie nad sierotami, bo w Małankówce bardzo im się wszystko darczyło: pszenica proszowska rosła jak las, w całym gospodarstwie wiodło się jak z płatka. Dworek ich zrazu szczupły, dostał przystawkę; bo też i rodzina drugim synkiem pomnożyła się Rzepkom. W lat dziesięć, gospodarując gorliwie, tak jak niegdyś uczciwie bił Turków, dorobił się znacznie więcej i dokupił sobie Rzepka kilka włók gruntu. Zao-krąglił ładnie swój folwark, i dziękując Bogu, że go tak szczęśliwie na tylu wojnach zachował, bo tylko raz był zraniony pod Kalnikiem na Ukrainie, żył szczęśliwie z Małanką i dziećmi, o ile człowiek może być szczęśliwym na tej ziemi.

Zasłużył na te łaski niebios i ludzi swem męstwem, miłością sprawy powszechnej, pracą uczciwą, a też przecie i nauką.

KONIEC.





# Spis Rzeczy.

---

- I. O tem, jak to Rzepka, niegdyś chłop prosty, wybrał się na wojnę turecką z żoną swoją i z panem starostą; także o tem, gdzie podział swojego synka?..... 3
- II. Jakób Rzepka na Łysej górze pod Wiedniem. Przebiera się po turecku i w pole wywodzi Turków. Co się z Małanką stało? Świetny atak husarzy do namiotu wezyra. Bitwa i zwycięstwo wielkie..... 22
- III. Opowiadanie Rzepki o Wiedniu. Żart Sobieskiego na pobojuwisku. Branka polska w szatach tureckich i słówko o jej odwadze, a także o tem, jak się cesarz wywdzięczył Sobieskiemu za pomoc i ratunek..... 44
- IV. O zbójcu Tedesko, i o porwaniu dziecka na Pokuciu..... 60
- V. Bój z opryszkami. Rzepka przewodzi dragonom. I o tem, czem też był niespodzianie nagrodzony za męstwo i dobre serce..... 67
- VI. Śmierć "Karasia." Powrót turecką bryką rodziny Rzepków do ojczyzny. Królewska nagroda dla wojaka, i o folwarku Manówce.... 82

11  
75





## Biblioteka P. N. Spójni.

---

Książki można wypożyczać tylko na przeciąg dwóch tygodni, i raz z odnowieniem, jeżeli na daną książkę niema zamówienia.

Za wszelkie opóźnienie z zwróceniem książki, czytelnik płaci po 2 centy kary za każdy dzień.

Wszelkie książki mają być zwracane z tą samą kartą, na którą otrzymane,

Zastrzega się również nie wypożyczać książki następnej osobie.

Za wszelkie uszkodzenia książek jest odpowiedzialny czytelnik, który daną książkę uszkodził.

Książki należy zawsze utrzymywać w jak najlepszej czystości.

Zarząd Biblioteki.

